

Oszalał na swoją skalę
ROBIN HOBB

Mistrz heroicznego fantasy
MARK LAWRENCE

Fascynująco brutalne
ANTHONY RYAN

JOHN GWYNNE

CIEŃ
BOGÓW



fabryka słów



JOHN GWYNNE

CIEŃ
BOGÓW

PRZEŁOŻYŁ
MACIEJ PAWLAK

ILLUSTRACJE
ROBERT ŁAKUTA

fabryka słów®

WARSZAWA

— TRYLOGIA —
O KRWIOZAPRZYSIĘŻONYCH



1. CIEŃ BOGÓW
2. GŁÓD BOGÓW
3. GNIEW BOGÓW

*Caroline,
mojej miłości,
mojemu sercu.
Jesteś dla mnie wszystkim,
na zawsze.*

*Sunie po ziemi cień wielkiej smoczycy,
mknie przez niebiosą żmij znad wzgórz,
gdzie świeci mroczny księżyc,
wznosi się wysoko nad równiną,
a trupy zwieszają się z jej skrzydeł.*

Voluspa

ORKA

Friðaröld, Wiek Pokoju, rok 297

Smierć jest częścią życia – szepnęła Orka na ucho synowi. Choć ramię Breki było odciągnięte do tyłu, mocno ścisnął jej rękę w swojej małej dłoni o zbiegających palcach, mierząc w renifera, który wyłonił się z chaszczki przed nimi. Jednak Orka dostrzegła wahanie w jego oczach i wyczytała je z jego zaciśniętych ust.

On jest za delikatny na ten świat, pomyślała. Otworzyła usta, by go zganić, ale wtedy poczuła na ramieniu rękę. Wielką, gdy rączka Breki była mała, i szorstką, gdy jego była gładka.

– Czekać – szepnął Thorkel zza zaplecionej w warkocze brody, posyłając w powietrze obłoczek pary. Stał po jej lewej, twardy i wielki jak głaz.

Zagrały mięśnie na twarzy Orki, a ostre słowa wezbrały w jej ustach. Ostre słowa są niezbędne w tym okrutnym świecie. Mimo to trzymała język za zębami.

Wiosenne słońce zasypało ziemię świetlistymi plamami. Światło przesączało się przez kołyszące się na wietrze konary i odbijało od białych łąt śniegu obwiedzionych szronem, ostatnim pocałunkiem zimy, który nie rozwiął się jeszcze w wysokogórskiej kniei. Tuzin reniferów pasło się na polanie; nad stadem czuwał kozioł o potężnym porożu, uważnie doglądający kóz i kozłąt, które skubały i żuły mchy oraz porosty obrastające pnie i otoczaki.

Jakieś drgnienie w spojrzeniu Breki, wstrzymany oddech, a potem gwałtowne poruszenie; skręt bioder i rozmazane w ruchu ramię chłopca. Włócznia wystrzeliła z jego ręki, ostry grot z sykiem przeciął powietrze. Duma zapłonęła w piersi Orki. Piękny rzut. Wiedziała, że dosięgnie celu.

W tym samym momencie, gdy Breka cisnął włócznią, upatrzone przez niego renifer poderwał pysk. Zwierzę strzepnęło uszami i dało susa naprzód, a stado zerwało się do biegu i rozproszyło między drzewami, lawirując zygzakami w głąb lasu. Włócznia Breki wbiła się w pień. Grot znieruchomiał, a rozdrżane drzewce z wolna szło w jego ślady. Chwilę później od wschodu dobiegł huk, trzask gałęzi, a spod ściółki wyłonił się kształt – olbrzymi, obrośnięty ciemnym futrem i drapiący długimi szponami – po czym puścił się pędem przez łąkę. Renifery umykały na wszystkie strony, gdy bestia pędziła między nimi, nie zważając na nic innego. Była ranna, jej długie kły znaczyła czerwień, a spomiędzy nich wylazł czerwony jęzor. Stwór natychmiast zniknął w mroku zalegającym pod koronami drzew.

– Co to było? – wyszczał Breka, skacząc wzrokiem między mamą i ojcem.

– Krekwulf – warknął Thorkel, zrywając się do biegu; nie kłopotał się już tym, czy wypadając z kryjówki, spłoszy zwierzynę. Przedarł się przez krzewy na łąkę, rozgarniając je krzepką włócznią, łamiąc gałęzie i obrywając liście. Orka i Breka poszli za nim.

Thorkel opadł na kolano, zębami zdarł rękawicę z dłoni i dotknął opuszkami palców krwi uronionej przez krekwulfa, a potem przyłożył je do wytkniętego języka. Splunął, wstał i ruszył za śladem krwi na skraj polany, gdzie przystanął i wbił wzrok w las.

Breka podszedł do swojej włóczni, wciąż tkwiącej w pniu. Grot zatopił się w drzewie do połowy. Chłopiec usiłował odzyskać broń. Wytężył mięśnie, ale włócznia ani drgnęła. Podniósł na Orkę spojrzenie szarozielonych oczu osadzonych w bladej, ubłoczonej twarzy o prostym nosie i wyraźnie zarysowanej żuchwie. Jego buzia okolona była kruczoczarnymi włosami, tak podobnymi do tych ojca i tak odmiennymi od jej własnych. Tylko te oczy zdradzały powinowactwo z Orką. Miała wrażenie, że patrzy sama na siebie.

– Spudłowałem – powiedział chłopiec i zgarbił się.

Orka złapała za drzewce i wyswobodziła włócznię o pół ramienia krótszą od tej, której używali dorośli.

– Tak – odrzekła, zwracając ją synowi.

– To nie twoja wina – skwitował ojciec ze skraju polany. – Renifery spłoszył wilk.

– Dlaczego nie zabił żadnego renifera? – spytał Breka, przyjmując od Orki włócznię.

Thorkel uniósł rękę, pokazując mu zakrwawione palce.

– Jest ranny. Raczej nie ma teraz apetytu.

– Co mogło tak poharatać krekwulfa? – zapytał Breka.

Cisza.

Orka przecięła polanę i zatrzymała się przy jej przeciwległym skraju, wpatrując się w ciemność, z której wynurzył się wilk. Przekrzywiła głowę. Pochwyliła jakiś niewyraźny dźwięk, niosący się przez knieję jak mgła.

Wrzaski.

Breka dołączył do niej. Ucapił włócznię obiema rękami i skierował grot tam, skąd dobiegły krzyki.

– Thorkel – warknęła Orka, okręcając się, by zerknąć na męża przez ramię. Wciąż patrzył za uciekającym wilkiem.

Wreszcie z niechęcią odlepił wzrok od ściany lasu i trzęsąc futrem, którym okutane były jego ramiona i szyja, ruszył do żony.

Dało się słyszeć kolejne głosy. Nadlatywały z daleka. Orka i Thorkel wymienili spojrzenia.

– Tam mieszka Asgrim – powiedziała.

– I Harek – dodał Breka.

Tak miał na imię syn Asgrima. Breka bawił się z nim na plaży w Fellurze, ilekroć Orka i Thorkel odwiedzali wioskę, by pohandlować.

Kolejny cień krzyku dopłynął do nich spomiędzy drzew.

– Lepiej to sprawdzić – mruknął Thorkel.

– Heja – zgodziła się Orka.

Chmurki oddechów owiewały ich, gdy parli naprzód przez sosnową gęstwinę po ziemi zasypanej grubą pierzyną miękkich igielek. Była wiosna i pod ich nogami budziło się już nowe życie, lecz zima wciąż trzymała się tych lesistych wzgórz jak stary wojownik, co nie chce jeszcze rozstać się z przeszłością. Szli w szyku z Orką na czele, nieustannie wodzącą wzrokiem między wilczym tropem i mroczniejącymi wokoło cieniami.

Stary, zmrożony śnieg trzeszczał i skrzypiał pod nogami, a drzewa rozwarły się przed nimi i znaleźli się nad urwiskiem, gdzie w kierunku zachodnim opadały w dół strome klify, a po otwartym poniżej niebie przesuwwały się strzepy chmur.

Orka ujrzała w dole cienkie jak sitowie kolumny dymu z palenisk położonego daleko w dole Felluru. Wioska rybacka wtuiliła się we wschodni skraj głębokiego, błękitno-czarnego fiordu, wokół którego połykiwała w bladym słońcu nieruchoma tafła wody. Nad ich głowami skrzeczały mewy.

– Orka – rzekł Thorkel, a ona zatrzymała się i obróciła.

Mąż odkorkował skórzany bukłak i podsunął go Brece, który był spocony i rumiany pomimo chłodu.

– Ma krótsze nogi od twoich. – Thorkel rozciągnął w uśmiechu usta zarośnięte przez obfite brodziszczce i skrzywione bliźną biegnącą przez policzek.

Orka obejrzała się na ślad, którym tu przyszli, i wytężyła słuch. Od dłuższego czasu nie słyszała już krzyków, skinęła więc mężowi i sięgnęła po własny bukłak.

Przysiedli na kamieniu, by złapać oddech. Wodzili wzrokiem po rysującym się zielenią i błękitem krajobrazie, niczym bogowie na szczycie świata. Widzieli na południu nurkujący w morskiej toni fiord za Fellurem i poszarpany zarys wybrzeża, który rozwijał się na zachód i południe, wyszczerbiony i poroany kolejnymi, głębokimi fiordami i zatokami. Nad samym widnokregiem kłębiły się chmury szare jak żelazo, błyskające groźnie bielą zwiastującą śnieżycę. Daleko na północy potężniał zielony łańcuch górski, którego wierzchołki pokryte były śnieżnymi czapami. Masyw wypełniał horyzont od wschodu po zachód. Tu i ówdzie lśniła wypiętrzona twarz klifu, stercząca z kamiennego ciała przedwieczna kość góry, z daleka zaznaczona tylko szarą, zamazaną plamą.

– Opowiedz mi jeszcze raz o wężu Snace – poprosił Breka, gdy wszyscy chłonęli wzrokiem odległe góry.

Orka milczała, nie patrząc na niego.

– Gdybym miał ci teraz snuć całą sagę, odmarzłby ci nos, a gdybyś wstał, palce odłamałyby się od stóp jak małe sopolki – odpowiedział Thorkel.

Breka wpijał się w niego szarozielonymi oczami.

– Jak ty dobrze wiesz, że nie umiem odmówić temu szczenięcemu spojrzeniu. – Thorkel buchnął chmurką pary. – Dobrze więc, krótka opowiadka, a potem ruszamy. – Zsunął z głowy futrzaną czapę i podrapał się w głowę. – Wszystko, co widzisz teraz przed sobą, to Vigrið, Bitewna Równina, która leży w Strzaskanych Krainach. Wyobraź sobie, że z brzegu morza ruszasz ku górom, a potem pokonujesz je i przechodzisz jeszcze sto lig. Cały ten przestwór był niegdyś wielkim polem bitwy, gdzie wojowali i umierali bogowie, zaś wielki wąż Snaka był ojcem ich wszystkich. Niektórzy twierdzą, że najwspanialszym członkiem swego rodu.

– Z całą pewnością największym – powiedział Breka z fascynacją, wpatrzony w ojca wielkimi oczami.

– Kto opowiada, ja czy ty? – spytał Thorkel, unosząc ciemną brew.

– Ty, tato – odparł Breka, skinąwszy głową.

Thorkel mruknął coś pod nosem i podjął:

– Oczywiście, Snaka był największy. I najstarszy. Ojciec wszystkich bogów. Pradawny, tak go zwali. Rozrósł się do zatrważających rozmiarów, tak jak ty byś się rozrósł, gdybyś najał się do syta codziennie od początku świata. Ale jego dzieci, choć znacznie mniejsze, też nie należały do ułomków. Orzeł, Niedźwiedź, Wilk, Smok i cała masa innych. Lecz rodem targnęły właśnie i Snaka został zabity przez swoje dzieci. A gdy wyzioną ducha, świat umarł wraz z nim; całe krainy roztrzaskały się jak kry na kamienistej rzece, impet wyrzucił je w przestworza, a to, co po nich zostało, zagarnęło morze. Te góry to wszystko, co zostało po Snace. To jego kości okryte płaszczem ziemi, którą zdruzgotał.

Breka gwizdnął przez zęby i pokręcił głową.

– Ależ to musiał być widok.

– Heja, chłopaku. Nikt wcześniej nie widział czegoś podobnego. Gdy bogowie idą na wojnę, drży ziemia i drzewa kładą się pokotem. Upadek Bogów doprowadził do upadku całej świat.

– Prawda – zgodziła się Orka. – Gdy upadł Snaka, otworzyła się w ziemi czeluść, a wtedy wszystkie stwory o ostrych zębach i kłach, które żyły w podziemnym świecie, wychynęły na powierzchnię, tu gdzie niebo i morze. Dla nich ten nowy świat był czysty i dziewiczy. Stanowił piękny, ciągnący się po horyzont gobelin wyszywany złotą, zieloną i błękitną nicią.

Orka dała się ponieść opowieści, choć wiedziała, że prawda przedstawia się inaczej. Że żadna saga nie jest bardziej krwawa właśnie od tej.

Spojrzała w prawo i znalazła na ziemi kropelki krwi, które niechybnie zostawiło po sobie ranne wilczysko. W jej myślach

te czerwone plamy rozplynęły się szeroko, zebrały w wielkich kałużach, które przerodziły się w tryskające posoką jeziora, a naokoło padały na ziemię okaleczone trupy i rozbrzmiewały wrzaski.

Ten świat jest światem krwi. Światem kłów i szponów i ostrego żelaza. Gdzie żyje się krótko, a umiera strasznie.

Ręka na jej ramieniu. Thorkel sięgający ponad głowę Breki, by jej dotknąć. Syk wciąganego raptownie powietrza. Mrugnęła i wyrzuciła je z płuc, odpychając od siebie natłok wizji.

– To był dobry rzut – powiedział Thorkel, trącając włócznię syna buklakiem, choć oczy wciąż miał skupione na Orce.

– Ale pudło – wymamrotał Breka.

– Ja też spudłowałem na swoim pierwszym polowaniu. A miałem wtedy jedenaście wiosen. Ty masz tylko dziesięć. I rzuciłeś lepiej ode mnie. To wilk pozbawił cię zwierzyny, nie ty sam. No nie, Orka?

Zmierwił synowi włosy wielką dłonią.

– Dobry rzut – odrzekła mama, wodząc wzrokiem po sunących od zachodu chmurach. Gnał je zachodni wiatr, w którym wyczuła śnieg i ostry mróz szroniący jej płuca. Zakorkowała buklak i odeszła kawalek.

– Opowiedz jeszcze o Snace – zawołał za nią syn.

Orka przystanęła.

– Czyżbyś zapomniał o Hareku, swoim przyjacielu?

Breka spuścił wzrok, po czym wstał i ruszył za mamą.

Orka wprowadziła ich między sosny, które tłumiliły dźwięk, przydając mu upiorną nutę. Świat skurczył się wokół nich, cienie drgnęły, a oni wspinali się wyżej i wyżej na wzgórze. Gdy byli blisko wierzchołka, wszystko naokoło zrobiło się szare. Chmury zakryły słońce, a między gałęziami świsnął mroźny wiatr.

Orka podpierała się włócznią jak kosturem, pokonując stromy odcinek zbocza i ostrożnie opierając stopy na śliskich kamieniach, tworzących coś na kształt schodów, które biegły

w górę wzdłuż spienionego strumyka. Woda zimna jak lód spryskała i wsiąkła w jej obwiązane rzemieniem futrzane buty. Pasma jasnych włosów wydostało się z jej warkocza, odgarnęła je za ucho. Zwolniła kroku, przypominając sobie o krótkich nogach Breki, choć rozpedzona w jej ciele krew zachęcała mięśnie do wysiłku. Zawsze tak na nią działało niebezpieczeństwo.

– Przygotuj się – powiedział Thorkel zza jej pleców i wtedy Orka też to poczuła.

Żelazista woń krwi. Smród opróżnionych flaków. Fetor śmierci.

Grunt wyrównał się i znaleźli się na płaskim odcinku urwiska, które oczyszczono z drzew. Po wschodniej stronie zbiegała ze stoku meandrująca ścieżka, która prowadziła do wioski Fel-lur i na fiord, zaś na wprost stała chata o dachu porośniętym trawą w otoczeniu kilku budynków gospodarczych, a wszystkie wtulone w ścianę klifu. Gospodarstwo otoczone było palisadą sięgającą ponad głowę Orki. Dom Asgrima.

Kobieta zrobiła dwa kroki naprzód, po czym stanęła i uniosła włócznię. Breka i Thorkel wdrapali się na płaskowyż chwilę po niej.

Wrota palisady stały rozwarłe na oścież, a między nimi leżał na ziemi trup o wykręconych członkach. Skrzydło bramy zatrzeszczało, poruszone wiatrem. Orka słyszała oddech syczący między wargami Breki. Wiedziała, że człowiek w bramie to Asgrim. Rozpoznała go po rozłożystych barkach i szarych jak żelazo włosach. Jedno kudłate ramię wystawało z oberwanego rękawa tuniki. Z nieba sfrunął płatek śniegu i musnął policzek Orki zimnym pocałunkiem.

– Breka, trzymaj się za mną – poleciła, idąc naprzód. Z ciała Asgrima poderwały się kruki, kracząc z pretensją i obsiadając pobliskie drzewa. Jeden przycupnął na palu ogrodzenia i wbił w nich paciorkowate oczy.

Śnieg rozpadał się na dobre. Wiatr zamiatał nim splecieć skalistego gruntu. Orka przyjrzała się Asgrimowi. Poza weł-

nianą tuniką miał na sobie bryczesy i dobry futrzany płaszcz, a jedno jego ramię ścisnęła zmatowiała srebrna bransoleta. Był szczupły, każdy jego mięsień wyraźnie rysował się pod cienką skórą. Z jednej nogi spadł mu but, a obok leżała połamana włócznia i zbryzgany krwią mały topór. W jego piersi ziała wyrwa. Krew wsiąkła w tunikę i zaczęła już krzepnąć.

Orka uklękła przy nim, podniosła topór i wsunęła go w rękę Asgrima, owijając mu palce wokół rękojeści.

– Po drodze dusz lepiej wędrować z bronią w rękę – szepnęła. Za swoimi plecami słyszała przyspieszony oddech Breki.

Widował wcześniej truchła zwierząt – pomagał oprawić zwierzynę na kolację, patroszył i oskórowywał, namaczał ścięgna na nici, wyprawiał skórę na buty, pasy i pochwy na saksy – ale martwego człowieka po raz pierwszy. W dodatku był to człowiek, którego Breka znał. Widział go za życia. Orka dała synowi chwilę, by się z tym uporał.

Grunt wokół Asgrima był skotłowany, trawa wdeptana w ziemię. Orka wypatrzyła klarowny ślad stopy. Kilka kroków dalej wsiąknęła w podłoże kałuża krwi. Ślad wiódł ją dalej. Wyglądał, jakby kogoś wleczono.

A więc Asgrim położył kogoś, nim go zabito.

– Czy to on tak wrzeszczał? – spytał Breka, nie mogąc odebrać wzroku od ciała i oddychając zrywami.

– Nie – odpowiedziała Orka, patrząc na ranę w piersi sąsiada. Pchnięcie prosto w serce. Śmierć przyszła po niego szybko. I całe szczęście, bo trupa już skubały ścierwojady. Kruki zmieniły jego oczy i usta w czerwone rany. Orka przyłożyła rękę do twarzy Asgrima i odwinęła to, co zostało z jego wargi, by spojrzeć do środka. Ujrzała tylko dziąsła i krwawiące dziury. Skrzywiła się.

– Gdzie jego zęby? – syknął Breka.

– Dorwały go tennury – warknęła Orka. – Kochają ludzkie zęby bardziej, niż wiewiórki kochają orzechy.

Rozejrzała się, powiodła wzrokiem po linii drzew i poszarpanym konturze klifu, szukając małych, dwunogich stworów. W pojedynkę były tylko utrapieniem, ale w stadzie potrafiły zabić, zadrapać, zakłuć palcami o ostrych szponach i zagryźć zębami jak brzytwy.

Thorkel obszedł Orkę i minął bramę, zataczając grotem włóczni szerokie półkola, szukając. Zatrzymał się i popatrzył na skrzypiące wrota. Orka przeszła nad ciałem Asgrima, weszła na podwórze i stanęła przy Thorkelu.

Do drugiego skrzydła bramy przygwożdżone było ciało o rozrzuconych ramionach i kiwającej się na boki głowie. Idrun, żona Asgrima.

Ona nie umarła tak szybko jak mąż.

Ktoś rozciął jej brzuch, z którego jelita wypłynęły na ziemię i tam zastygły niczym splecione korzenie starego dębu. Z lśniących, zalegających w obsypanej śniegiem stertce zwojów wciąż unosiła się para. Jej twarz wykrzywił nie do poznania grymas straszliwego bólu.

A więc to ona tak krzyczała.

– Kto jej to zrobił? – mruknął Thorkel.

– Jakiś stwór, co wypęł z czeluści? – odpowiedziała pytaniem Orka.

Thorkel wskazał wyciosane na bramie grube runy złożone z ostrych kątów i prostych, głębokich linii. Znak ochronny.

Orka potrząsnęła głową. Runy odstraszą wszystko poza najpotężniejszymi væsenidami. Zerknęła z powrotem na Asgrima i na ranę w jego piersi. Væsenidzi rzadko używali broni, bo natura sama wyposażyła ich w dogodne do mordowania narzędzia. Od szukała wzrokiem ciemne łaty na trawie. Zakrzepła krew. Krew na toporze gospodarza. Byli tu jacyś ranni, ale ich stąd zabrano.

– Czyżby to zrobili ludzie? – zamruczał Thorkel.

Orka wrzuciła ramionami i odetchnęła, zastanawiając się.

– Gdy pomyślę, że nazywają to Wiekiem Pokoju... – wycedziła. – Stek bzdur.

Bogowie umarli i pradawna wojna dobiegła końca, ale to nie oznacza, że nastał pokój.

Spojrzała w niebo; z ciężkich, wiszących nisko chmur przószył śnieg. Znowu ogarnęła wzrokiem trupy.

– To czas nawałnicy i śmierci... – powiedziała.

– Gdzie jest Harek? – zapytał Breka.

2

VARG

Varg okrzyknął się, by spojrzeć przez ramię, nie przerywając biegu. Potknął się i zatoczył, prawie upadając, a potem przyspieszył. Skalisty brzeg ustępował miejsca połaci czarnego piachu i żwiru tam, gdzie poszerzało się koryto rzeki. Rosnące gęsto drzewa przerzedzały się, a otaczający go klif cofał się w miarę zbliżania do fiordu. Czuł już zapach Ligi, na który składało się wiele pomniejszych woni, a wszystkie rzuciły mu się naraz do nosa.

Jeszcze raz łypnął przez ramię. Żadnych oznak pogoni. Ale wiedział, że go gonią. Dlatego przyspieszył.

Od jak dawna uciekam? Dziewięć dni, dziesięć?

Dotknął ręką skórzanej sakwy przy pasie, wciągnął do płuc słone powietrze i zmusił się do bardziej wytężonego wysiłku. Mięśnie nóg paliły żywym ogniem, płuca pracowały jak miechy i strużki potu nieustannie zalewały mu oczy, ale trzymał tempo odmierzane jednostajnym rytmem głębokich oddechów i długich susów.

Mógłbym biec w nieskończoność, gdybym tylko miał po czym. Ale klify pokierowały mnie do morza. Dokąd teraz? Co robić?

Panika wzbierała w jego trzewiach.

Nie mogę dać się złapać.

Mknął dalej. Żwir chrząścił pod jego obutymi stopami.

Rzeka wpłynęła do fiordu, rozwierając się niczym szczęki węża chwytającego ofiarę, i w oddali ukazała się w końcu Liga – portowa wioska wzniesiona na południowo-wschodnim brzegu, gdzie zjeżdżano handlować. Varg zwolnił, oparł dłonie na kolanach i wbił wzrok w miasteczko: w tętniącą, cuchnącą masę budynków usytuowanych wzdłuż szerokiej, czarnopiaszczystej plaży, biegnących w głąb lądu tak daleko, jak tylko pozwalał fiord. Sioło otaczała palisada, chroniąc stłoczonych w środku ludzi i zabudowania. Miasto wspinało się na zbocze wzgórza, gdzie stał okryty trawiastym dachem długi dom, wsparty na rzeźbionych, wijących się drewnianych filarach. Gmach przypominał zasiadającego na tronie jarla, dogląającego z wysokości swoich poddanych. Niebo było zasnuwane dymem z palenisk, a w powietrzu czuło się zapach łoju i sadła. Pomosty i mola wychodziły w błękitno-czarne wody fiordu, w przystani kołysało się na falach mrowie statków. Spośród nich wyróżniał się jeden – smukły drakkar, smoczy okręt o dziobie wyprężonym na podobieństwo szyi wielkiego gada. Wyglądał jak wilk skryty wśród stada owiec. Wokół niego tłoczyły się drobne byrdingi i knarry z brzuchami pełnymi kupieckich towarów, zwiezionych tu z miejsc, o których Varg pewnie nigdy nie słyszał. Nie wiedział, ile dokładnie ma lat, ale w toku swojego życia naliczył trzydzieści mroźnych zim i tyle samo katorżniczych pór letnich, które spędził na farmie Kolskegga, ledwie dwadzieścia lig na północny wschód z biegiem rzeki, a jego pan nigdy nie zabrał go do Ligi na żadnym ze swoich statków handlowych.

Nie żeby chciał się tu wybrać. Nawal woni odpychał go, choć wplecione weń zapachy wytapianego tłuszczu i piekącego się

mięsa wzbudzały kruczenie w jego żołądku. Myśl o tym, że znalazł się tak blisko takiej masy ludzi, nie mieściła mu się w głowie. Zrobił bezwiednie kilka kroków wstecz, ku rzeczemu zlebowi, który właśnie pokonał.

Nie mogę zawrócić. Złapią mnie. Muszę iść naprzód. Potrzebny mi galdurmag albo seiðrwiédzma.

Potarł głowę i sięgnął pod płaszcz, skąd wyciągnął grubą żelazną obrożę. Potem z drugiej strony wyłowił klucz, otworzył ją i z drzeniem zamknął na swojej szyi. Przekręcił klucz w zamku i znowu schował go pod płaszczem. Przez kilka chwil stał, kręcąc szyją i krzywiąc się. Wyrzucił z płuc rozedrgany oddech. A później wyprostował się, otrzepał ubłoconą tunikę i zarzucił na głowę kaptur. I ruszył naprzód.

Szeroka, pokryta runami brama stała otworem, strzeżona przez parę opartych o jeden słup wartowników w kolczugach. Jeden był siwobrodym mężczyzną, a drugi młodą kobietą o zaplecionym ciasno warkoczu i z zatkniętym za pas saksem. Trzymała w dłoni włócznię.

Popatrzyła na Varga, gdy ten zbliżył się do bramy, i zrobiła krok naprzód, zastępując mu drogę.

– Co sprowadza cię do Ligi? – spytała.

– Szukam mieszkania dla mojego pana – odpowiedział ze spuszczonego wzrokiem. – Posłał mnie przodem.

Zdawkowym gestem wskazał kierunek, z którego przybył. Wartowniczką mierzyła go wzrokiem, po czym spojrzała ponad jego ramieniem na pusty wlot rzecznej doliny.

– Skąd mam to wiedzieć? Kim jest twój pan? Zsuń kaptur.

Varg podumał nad odpowiedziami, których mógł jej udzielić, oraz nad tym, na jakie tory skierują rozmowę i co jej zdradzą na jego temat. Powoli zdjął z głowy kaptur, odsłaniając krótko ścięte włosy i umorusaną błotem, spoconą twarz.

Wtedy do bramy podjechał zaprzężony w dwa woły wóz z bogato odzianym mężczyzną na koźle. Otaczała go świta złożona z wyzwolenców uzbrojonych we włócznie i pałki.

– Przepuść człowieka, Slydo – mruknął siwobrody.

– Moim panem jest Snepil – odrzekł Varg, podając pierwsze imię, jakie przyszło mu do głowy. Wiedział, że Snepil nie podaży za nim, bo gdy Varg widział go ostatnim razem, ten patrzył na niego wybałuszonymi oczami, a z jego ust dobywało się ostatnie tchnienie, które Varg własnymi rękami wydusił mu z gardła. Nie pamiętał, kiedy się na nim zacisnęły. Pamiętał tylko chwilę, w której przedśmiertne rżężenie Snepila przebiło się przez czerwoną mgłę w jego głowie.

Kobieta raz jeszcze otaksowała go wzrokiem, a potem zeszła mu z drogi i machnęła, by przeszedł. Varg nałożył kaptur na głowę i wślizgnął się do Ligi, tak jak wesz niepostrzeżenie wnika między włosy. Zapachy i wonie uderzyły w niego ze zdwojoną siłą, jakby dał nura do stosu odpadków. Między drewnianymi budynkami biegły błotniste ulice i wszędzie roiło się od wydzierających się kupców, stojących przy swoich rozstawionych na kozłach ławach, na które wyłożyli wszelkiego rodzaju dobra: bele barwionych tkanin, kościane igły i grzebienie, głównie toporów i noży, zdobione pochwy, brązowe spinki do płaszczy, drewniane miski, zwoje wełny i lnu, skóry wilków, niedźwiedzi, reniferów, kun i lisów. Varg wybałuszył oczy na ciosy i kości morsa. Inni sprzedawali rogi, miód i piwo, gdzie indziej w kotłach bulgotała na ogniu królicza i wołowa potrawka, w której pływały marchewki i połyskiwały oka tłuszczu. Na hakach wisiały płaty wielorybiego mięsa, pęki wędzonych śledzi i dorszy. Dostrzegł nawet handlarza, który sprzedawał części ciała væsenidów: wysuszoną krew faunira, wielki jak pięść ząb trolla, całą miskę oczu skrælingów i naszyjnik zrobiony z nanizanych na sznurek włosów froi. Niekończąca się, nieprzebrana masa rzeczy i przedmiotów, przytłaczająca w swej obfitości.

Skurcz w brzuchu przypomniał mu, jak wiele czasu minęło od ostatniego posiłku. Nie wiedział, ile dokładnie, ale co najmniej trzy dni – może cztery? – odkąd miał fart złapać łososia

w rzece. Podszedł do stojącego za wielkim garem potrawki handlarza, który na ławie ćwiartował tasakiem dzika. Mężczyzna dźwigał obfite brzuszysko, a jego twarz porastała przerzedzona broda. Na nogach miał obszyte futrem buty, na grzbiecie zaś zieloną wełnianą tunikę o odbarwionym i postrzępionym przy szyi i na rękawach splocie.

Varg wbił spojrzenie w kocioł i ślina napłynęła mu do ust, a skurcze żołądka wzmogły się aż do bólu.

– Coś na ząb? – zagadnął go sprzedawca, odkładając tasak i łapiąc za miskę.

– Ano, przydałoby się.

– Pół brąziaka – powiedział brzuchacz i urwał, wpatrując się w niego. Odłożył miskę i ściągnął Vargowi kaptur z głowy, spojrzął na krótko ścięte włosy. Zmarszczył brwi.

– Poszedł stąd, ty brudny niewolniku – syknął.

– Mam pieniądze.

Uniesiona brew.

– Jak masz, to pokaż.

Varg sięgnął pod płaszcz, wyciągnął sakiewkę, poluzował rzemyk i wyjął brązową monetę. Spuścił ją na ławę handlarza, a moneta potoczyła się po niej i zatrzymała na rewersie ukazującym wybitą kobiecą głowę. Profil o ostrym nosie i ściągniętych mocno włosach splecionych na karku.

– O, Helka – skwitował handlarz, falując brodą.

– Królowa Helka – poprawił Varg, choć sam nigdy jej nie widział, słyszał tylko szeptane ukradkiem opowieści o niej: o jej dumie i pysze, o jej przekonaniu, że powinna rządzić połową Vigriðu, i o okrucieństwie, z jakim traktowała swoich wrogów.

– Nazwała się królową tylko po to, by bezkarnie zedrzyć z nas ostatnią koszulę – odwarknął handlarz.

– Nie przyjmiesz moich pieniędzy? – zapytał Varg, sięgając po brąziaka.

– Tego nie powiedziałem. – Mężczyzna podsunął dłoń.

Varg wziął tasak i krótkim cięciem przedzielił monetę na pół. Uniósł jedną połówkę kciukiem i palcem wskazującym, a drugą zostawił na blacie.

– Skąd niewolnik ma sakiewkę z monetami bitymi przez Helkę? – zawarczał taksujący go wzrokiem handlarz. – I gdzie twój pan?

Varg spojrzał mu w oczy, a potem znacząco sięgnął po półbrąziaka. Mężczyzna dał za wygraną i nalał potrawki do miski.

– Jeszcze kęs chleba, jeśli wolno – rzekł Varg i otrzymał pajdę odkrojoną z bochna o czarnej skórce. Umoczył ją w potrawce i zassał chciwie. Tłuszcz spłynął mu z wargi na świeżo zapuszczoną brodę. Potrawka była wodnista i zbyt gorąca, ale Varg mógłby przysiąc, że niczego smaczniejszego w życiu nie jadł. Przymknął oczy, znów nagarnął potrawki na chleb i zasiał ze smakiem. Nie minęła chwila, a chleb zniknął, wkrótce zaś resztką zawartości miski, którą bezceremonialnie wlał sobie do ust. Odstawił naczynie i beknął.

– Widywałem już głodnych ludzi – skomentował handlarz – ale ty... – Gwizdnął i uśmiechnął się blado.

– Czy jest w Lidze galdurmag albo seiðrwiędźma? – spytał Varg, strzepując z podbródka resztki posiłku.

Handlarz palcem nakreślił runę na piersi i skrzywił się.

– Nie. A tobie po co ktoś taki?

– To już moja sprawa – odparł Varg i zamilkł na chwilę. – A właściwie mojego pana. Nie wiesz, gdzie mógłbym znaleźć kogoś takiego?

Mężczyzna zaczął się odwracać, a wtedy Varg rzucił na ławę drugiego półbrąziaka.

Handlarz zmierzył go wzrokiem.

– Krwiozaprzysiężeni zawinęli wczoraj do przystani. Mają niewolnicę, która jest więdźmą.

Krwiozaprzysiężeni! Grupa najemników słynna jak Vigrið długi i szeroki, a pewnie znana też daleko poza jego granicami.

Kompania najmowała się u tego, kto zapłacił więcej, by polować na væsenidów, szukać boskich artefaktów dla bogatych jarłów, wspierać ich wojowników w granicznych utarczkach oraz strzec bogaczy i możnych. Skaldowie śpiewali o nich pieśni.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał Varg.

– Znajdziesz ich w długim domu. Goszczą u jarla Logura.

– Dzięki ci. – Sięgnął do sakiewki i wyjął jeszcze połówkę brązowej monety.

– A to za co? – zdziwił się handlarz.

– Za twoje milczenie. Nigdy mnie nie widziałeś.

– Niby kogo? – odrzekł mężczyzna, rozglądając się wokoło i krzywiąc usta w uśmiešku, gdy sięgał po pieniądze.

Ręka Varga wystrzeliła naprzód, znacznie szybciej, niż poruszał się handlarz, i ucapiała go za nadgarstek. Niewolnik zajął mężczyźnie w oczy, długo wlepiął w niego spojrzenie, a potem puścił go i tak samo prędkim ruchem porwał ze stołu tasak.

– Ile?

– A weź sobie. – Handlarz wzruszył ramionami.

Varg kiwnął głową i schował przedmiot za pazuchą, naciągnął kaptur i wtopił się w tłum.

Ruszył ulicami Ligi, minął zatłoczone nabrzeże, gdzie uwiłali się jak w ukropie mężczyźni i kobiety, rozładowując świeżo zadokowaną kupiecką knarrę o szerokim kadłubie, która stała głęboko zanurzona w wodzie. Vargowi wydawało się, że słyszy przytłumione rzenie koni dochodzące gdzieś z trzewi statku, a kątem oka spostrzegł dwa kolejne, pchane przez wioślarzy ku dokom. Grupa osobiwie wyglądających mężczyzn i kobiet wysiadała właśnie z przycumowanej jednostki. Nosili czapki z filcu i futra oraz kaftany o srebrnych sprzączkach, a do tego bryczesy w niebieskie i pomarańczowe pasy, workowate ponad kolanem i owinięte ciasno winnigasami od kolana do kostki. Ich twarze były ciemne, niby uformowane z wyprawionej skóry, i eskortowała ich garstka wojowników ubranych w długie płaszcze wzmocnione płytkami pancerza, który przy każdym

ruchu połyskiwał na podobieństwo rybich łusek. Przy bokach mieli zakrzywione miecze, a z twarzy mężczyzn zwieszały się sumiaste wąsy. Ich głowy były ogolone, nie licząc pojedynczych pasm włosów zaplecionych w warkocz. Varg przystanął i wlepił w nich wzrok, gdy odwracali się, krzycząc coś do marynarzy na pokładzie. O nabrzeże łupnęły trapy, a nad wypełnioną ładownią zawisły haki żurawi.

– Skąd oni przyплыли? – spytał Varg portowego robotnika, który przemykał obok ze zwojem liny przewieszonym przez ramię.

– Z Iskidanu – mruknął tamten, nie zwalniając biegu.

– Z Iskidanu, powiadasz... – Varg aż gwizdnął.

Słyszał opowieści o tej dalekiej, zamorskiej krainie na południu, o jej szerokich rzekach i trawiastych równinach, o palącym słońcu i o Gravce zwanej Wszechstolicą. Jakaś częśćka niego uważała, że to tylko opowieść, oaza, do której może uciec znękanym umysłem podczas długiej i mroźnej zimy.

Varg poświęcił obcym ostatnie spojrzenie, a następnie ruszył przed siebie i skręcił we wspinającą się po stoku ulicę biegnącą ku klifom, które wisiały smętnie nad miasteczkiem, a u których stóp wznosiła się sala miodowa jarla Logura. Smród ryb zelżał w miarę posuwania się naprzód, ale miejsce po nim zaraz wypełnił fetor szczyń i odchodów. Schody wykute w litej skale wiodły do szeroko sklepionej bramy, za którą majaczyły już przysadziste filary długiego domu. Na wyższych stopniach tłoczyli się ramię w ramię mężczyźni i kobiety. Varg zwolnił, szukając drogi do środka, a potem przemknął bokiem między ludźmi.

Wtem poczuł na ramieniu czyjąś rękę.

– Czekaj na swoją kolej, jak wszyscy – odezwał się kobiecy głos. Jego właścicielka była ciemnowłosa i miała ostro wyrysowaną, zaciętą twarz o zimnych oczach. Wełniana tunika okrywała jej ciało, obszyty futrem płaszcz zwieszał się z ramion, a na pasie wisiał saks w pochwie i mały topór.

– Muszę zobaczyć się z Krwiozaprzysiężonymi – powiedział Varg.

– A my to nie? Takiś wyjątkowy?

Varg utkwił w niej spojrzenie, po czym rozejrzał się po tłumie wokoło.

– Wszyscy przysiężcie zobaczyć się z najemnikami? – zdziwił się.

– No chyba – prychnęła kobieta. – A niby z kim?

– Czemu? – spytał Varg.

– Na drakkarze jest pusta wiosławka – odpowiedziała kobieta.

– Że co? – nie zrozumiał Varg.

– Ktoś cię zdzielił w łeb? – Kobieta dźgnęła go palcem w skroń. Vargowi się to nie spodobało. – Ławka, na której sieda wiosłarz na okręcie! Jeden z Krwiozaprzysiężonych został zabity. Urządzili próbę, by znaleźć kogoś na jego miejsce.

– Ach, już łapię. – Varg skinął głową.

– Więc czekaj na swoją kolej – skończyła kobieta i zmierzyła go wzrokiem. – Chyba że spieszno ci do piachu?

Wokół rozeszła się fala śmiechów. Varg spuścił oczy i czekał.

Tłum na stopniach poruszył się. Zbliżając się do długiego domu, Varg coraz wyraźniej słyszał niosące się z placu krzyki kontrapunktowane wrzaskami bólu. Ślamazarny, ale nieprzerwany strumień zakrwawionych twarzy spływał schodami z powrotem do miasta. Niektórzy uczestnicy próby jęczyli z wysiłku i bólu, inni wlekli się podpierani przez towarzyszy. Tych ogłuszonych trzeba było nieść.

Varg dotarł do najwyższego stopnia i spojrział ponad ramionami ludzi przed sobą. Łukowa brama prowadziła na otwartą przestrzeń rozciągającą się przed salą miodową jarla Logura, wielkim budynkiem z bali ułożonych naprzemiennie na solidnej kamiennej podbudowie. Plac był zdeptany i błotnisty, gdzieniegdzie naznaczony połyskującymi ciemnymi plamami. Otaczał go krąg wojowników, pięćdziesięciu lub sześćdziesię-

ciu zaprawionych wojów obojga płci, niektórych w nitowanych brynjach i z mieczami u boku. Do tej pory Varg widział miecz tylko raz, gdy jeden z lokalnych drengrów odwiedził gospodarstwo Kolskegga, żeby pobrać podatek dla królowej Helki. Varg podejrzewał, że ten miecz był wart więcej niż cały wóz załadowany wszelakim dobrem oraz skrzynia pieniędzy, które Kolskegg dał poborcy. Jego oczy przyciągnął łysy i muskularny wojownik o bardziej siwej niż czarnej brodzie zaplecionej w warkocz. Miał przy biodrze prostą pochwę, na szerokich barkach kosztowną brynję, a na ramionach i szyi złote i srebrne ozdoby. Tu Varg nie miał wątpliwości: za nie i miecz mógłby kupić od Kolskegga całą jego farmę. Żaden handel nie opłacał się tak jak handel śmiercią. Łysy wojownik rozmawiał z karczowłosą kobietą naznaczoną wzorem niebieskiego tatuażu na zuchwie i gardle.

Seiðrwiedzma. Varg zamrugnął, zdumiony, widząc żelazną obrożę na jej szyi. Instynktownie podniósł rękę do własnej. Stary wojak wspierał się na toporze, którego głownia grzęzła w ziemi. Pojedyncze żelazne ostrze wzbudzało dreszcz na karku. Varg był oswojony z siekierą, czego dowodziły odciski na jego rękach, ale topór to co innego – bynajmniej nie służył do rąbania drewna. Tylko ludzi.

Odbiegł wzrokiem, gdy widok wzbudził w jego wnętrzu nieprzyjemne uczucie. Wszyscy wojownicy kompanii byli uzbrojeni po zęby. Ciężkie żelazo zwieszało się z ich pasów, a na plecach mieli wielkie okrągłe tarcze, podczas gdy inni oparli je o ściany i schody wiodące do sali miodowej. Kilka było pomalowanych błękitną farbą koloru zimowego nieba, na której wyobrażono czerwony żagiel, symbol jarla Logura, ale większość z nich była czarna z czerwonymi plamami, jakby ktoś zbrzytał je krwią.

W środku kręgu walczyli dwaj mężczyźni. A dokładniej, jak ująłby to Varg: mężczyzna i drzewo. Niższy wojownik przedko poruszał się na nogach, trzymając w jednej ręce okrągłą

tarczę i tanecznym krokiem okrążając tego wyższego, który rozebrany do połowy okręcał się wokół własnej osi, potrząsając sięgającą pasa, zaplecioną w warkocz rudą brodą. Zwalistej budowy olbrzym, istna góra mięśni splecionych jak korzenie starego dębu, zachwiał się, gdy żelazne umbo tarczy przeciwnika po serii zwodów wbiło się w jego żebra, a pięść zetknęła się z jego żołądkiem. Stęknął cicho, jedynie w ten sposób dając poznać, że dwa ciosy dobiegły celu, a potem jego masywne ramię wystrzeliło naprzód i dosięgło potylicy mikrusa, kiedy ten usiłował ująć poza jego zasięg. Teraz to on się zachwiał i poleciał do tyłu na rozkołysanych nogach, a rudobrody dryblas pognął za nim.

– Jak cię zwą? – powiedział jakiś głos.

Varg zamrugał, odrywając spojrzenie od widowiska.

– Pytałem o imię – powtórzył oparty o słup bramy męczyzna ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Był mniej więcej tego wzrostu co Varg i podobnie szczupły, czerwone włosy nosił porządnie zaplecione, a brodę przyciętą, naoliwioną i lśniącą. Nosił zadbaną brynję i saks w pochwie bogato zdobionej spiralnym wzorem, przypominającym skorupę ślimaka.

– Varg. – Jego odruchową odpowiedzią było posłuszeństwo. Bo nieposłuszeństwo Kolskegg nagradzał pięścią lub batem.

– Varg i co dalej?

Zaskoczony Varg zamarł. Nieznajomy westchnął.

– Powiem ci, jak to działa. Jak pytam o imię, ty podajesz imię, ale i nazwisko. Na przykład, uważaj, ja zwę się Svik Hrulfsson, ale zwą mnie Czupiradło, bo dbam o włosy. Więc pozwól, że zacznę od nowa. Jak cię zwą?

– Nie wiem. – Varg wzruszył ramionami. – Nie znalazłem ojca ani matki.

Svik zmierzył go wzrokiem.

– Na pewno się na to piszesz?

– Na co?

– Na walkę z Einarem Półtrollem.

– Nie chcę z nikim walczyć – odparł Varg – a już na pewno nie z kimś, kogo zwą Półtrollem. – Wziął głęboki wdech. – Chcę wynająć waszą czarownicę.

Svik posłał mu spojrzenie z ukosa.

– Vola nie jest do wynajęcia – oświadczył, zerkając na wytatuowaną kobietę pogrążoną w rozmowie z łysym kompanem.

– Muszę z nią pomówić. To dość ważne.

– Ano, może i ważne, ale dla ciebie. A dla nas... – Svik wzruszył ramionami – niespecjalnie.

– Kiedy ja naprawdę muszę z nią pomówić – nalegał Varg, czując kielkującą w żołądku panikę.

– A co to za ważna sprawa? Trzeba ci eliksiru miłości, hę? Chcesz przelecieć jakąś urodziwą niewolnicę na swojej farmie?

– Nie! – wykrzyknął Varg. – Nie trzeba mi żadnej mikstury. – Spojrzał Svikowi w oczy. – Chodzi o coś znacznie ważniejszego.

– Coś znacznie ważniejszego od bzykania? – Svik uniósł na niego brew. – Nie wiedziałem, że jest coś takiego.

Tłumek za plecami Varga nagrodził żart rechetem.

– Potrzebuję, by wasza seiðrwiędźma odprawiła rytuał akáll. Svik się skrzywił.

– Inwokację, powiadasz. To rzeczywiście poważna sprawa.

– Owszem – potwierdził Varg, muskając palcami sakwę przy pasie.

– Tak czy inaczej, odpowiedź brzmi: nie – powiedział Svik. – Vola oferuje swoje umiejętności tylko Krwiozaprzysiężonym. Nikomu innemu. Nikt nie może jej ot tak wynająć. Choćby sama królowa Helka wspięła się tu tymi schodami i o to prosiła, odpowiedź wciąż byłaby odmowna.

Z Varga spłynęła cała nadzieja i ogarnął go chłód.

Coś zgrzytnęło na placu. Varg podniósł wzrok na wielkiego wojownika – Einara Półtrolla – który właśnie walił w tarczę chybkiego przeciwnika gołą pięścią.

Drewno poszło w drzazgi.

– Dlaczego Einar nie ma tarczy? – spytał Varg.

– By dać przeciwnikom choć cień szansy. – Svik wzruszył ramionami i pochylił się naprzód. – Choć to nawet nie cień – dodał szeptem.

Einar ucapił rywala za gardło i krocze, poderwał go w powietrze, aż tamten kwiknął, po czym cisnął nim jak szmacianą lalką. Nieszczęśnik gruchnął o ziemię i przestał kwiczeć. Zaległ nieruchomo i już się nie podniósł. Mężczyźni i kobiety podbiegli i zabrali go z placu.

Varg spojrział na Einara. Przysadzisty, niewzruszony i groźny. Tylko kilka czerwonych śladów na jego ciele dowodziło, że stoczył właśnie dwudziestą zwycięską walkę. Wrócił wzrokiem do Svika.

– Chcę z nim walczyć.

3

ORKA

Orka szła przy burcie wozu, na którym wieźli ciała Asgrima i Idrun. Nakryli je szorstkim wełnianym kocem, na którym zakwitły już krwawe plamy. Orka węszyła w powietrzu i rozglądała się na boki. Wokół rzedły drzewa, a grunt wyrównywał się, gdy zdążali krętą drogą do Felluru, rybackiej wyspy na brzegu fiordu.

Breka prowadził wóz, jedną ręką ciągnąc wodze kudłatego kuca, którego znaleźli w stajni Asgrima, a drugą zaciskając na krótkiej włóczni, którą podpierał się jak kosturem. Orka powierzyła mu to zadanie, by zajął czymś myśli po tym, na co napatrzył się na farmie Asgrima. Sama chciała móc skupić się tylko na obserwacji otoczenia.

Bo w okolicy grasowali mordercy.

Nie znaleźli Hareka w gospodarstwie. Na ścieżce zbiegającej ze wzgórza Thorkel odkrył łaty skotłowanej ziemi i ślady, które jednak szybko ją opuszczały, zagłębiając się w leśnej gęstwinie. Po ożywionej dyskusji zgodzili się, że Thorkel pójdzie po

śladach, a Orka i Breka zwiozą trupy do Felluru. Orka upierała się, by to ona poszła niebezpieczną ścieżką, choć oboje wiedzieli, że Thorkel jest lepszym tropicielem. Mimo to spierała się z mężem, który ostatecznie w połowie zdania opromienił ją uśmiechem i puścił się pędem między drzewami, cichy jak dym mimo swojej masy. Nieposiadająca się z oburzenia Orka mogła tylko wymierzyć wściekle spojrzenie w miejsce między jego łopatkami.

Prychnęła, a potem ruszyła susami traktem, każąc Brece zająć się wozem. Zostawili śnieg za sobą i tylko brudnobiałe łąty zalegały jeszcze w zacienionych miejscach. Ścieżka wiodła ich przez błotnistą szachownicę kałuż, które wyrosły tam, gdzie stopił się biały puch.

– Czy tata znajdzie Hareka? – spytał chłopiec, patrząc w ziemię.

– Może – odburknęła Orka. Obejrzała się na niknące w chmurach szczyty. Thorkel przyrzekł jej, że jeśli znajdzie chłopca i morderców Asgrima, nie będzie walczył z nimi w pojedynkę, tylko wróci po nią.

Tylko że z Thorkela jest kłamczuch. Nie odpuści, widząc chłopca w niebezpieczeństwie. Jeśli malec wciąż żyje.

Orka chciała jak najszybciej przekazać ciała jarli Felluru i ruszyć szukać męża, zanim ten wplącze się w kłopoty. Wioska majaczyła już między drzewami – kilkadziesiąt plecionych z wikliny i lepionych z gliny budynków o strzechach z sitowia, skupionych wokół długiego domu. Całość otaczała niska palisada, przegniła w kilku miejscach i nieobejmująca ciemnopiaszczystej plaży. Ale byli tutaj dość bezpieczni. Væsenidzi preferowali ciche, ciemne miejsca, gdzie łatwo się schować.

Orka widziała już wywieszzone przy brzegu sieci rybackie. Schły, czekając na załatanie. Kilka drewnianych pomostów szpiło ciemne wody fiordu. Większość była pusta, jeśli nie liczyć paru łódek rybackich i zacumowanych przybrzeżnych byrdingów.

Kozy meczały, gdy wóz przetaczał się obok. Orka wyciągała długie nogi, by zrównać się z Breką.

O słup bramy stał oparty strażnik, którego Orka widziała wcześniej, ale nie znała jego imienia. Skinął jej głową, nie zwracając sobie głowy, by spojrzeć na ładunek. Ilekroć wraz z mężem wracała do wioski wozem, zawsze wieźli skóry na handel, więc niby czemu dziś miałyby być inaczej? Orka odwzajemniła skinienie i przeszła przez bramę, czując narastające ciśnienie w piersi i czaszce. Podniosła wzrok na poprzeczkę bramy nad swoją głową i znalazła wzrokiem lśnienie biegnące po kości wbitej głęboko w drewno: kłykiec zabitego boga, który wciąż pulsował resztką dawnej mocy, pomagając odpędzić od wioski væsenidów.

Nacisk na zmysły Orki zelżał, gdy minęła bramę i weszła na błotnistą ulicę. Po wiosce kręcili się ludzie, a większość kierowała się ku długiemu domowi. Orka podążała w tę samą stronę, tam bowiem urzędowała Sigrúna, jarla Felluru.

Pokierowała Brekę obok świńskich zagród odcinkiem drogi, gdzie wydeptane błotniste wzgórki łapały pomarańczowe światło dobiegające z paleniska kuźni, skąd dało się słyszeć dzwonienie kowalskiego młota. Następnie minęli karczmę, z której dolatywał smród piwa, jęczmienia i szczywn.

– Co to jest? – powiedział mężczyzna, wychodząc z karczmy w światło dnia i mrużąc oczy. Orka rozpoznała Virka, rybaka, z którym wielokrotnie handlowali wraz z Thorkelem. Bezpośredni w obejściu olbrzym o szerokiej, przyjaznej twarzy zranił się w ramię, kiedy na morzu złapał go sztorm, na połów wyprawiali się więc teraz jego synowie, podczas gdy on wracał do zdrowia na łądzie. Wzrok miał mętny, a na jego policzkach zarysowały się krwawe żyłki. Orka powąchała idące od niego powietrze i zmarszczyła nos. Lepiej by zrobił, gdyby już wrócił na morze.

– Asgrim i Idrun. – Skinęła na wóz.

Virk wlepił wzrok w krwawe plamy na kocach.

– I Harek gdzieś przepadł – pisnął Breka.

– Co się stało? – nie dowierzał Virk. Wokół wozu gęstniał tłum.

– Na pewno nie zmarli ze starości – mruknęła kobieta i ruszyła naprzód. Virk poszedł za nimi, inni także, obwieszczając złą nowinę współplemieńcom.

Wóz wtoczył się na plac przed długim domem, gdzie zebrało się już z pięćdziesiąt osób, co najmniej połowa wioski, a stale przybywali kolejni.

Z budynku wyszedł młody człowiek. Guðvarr, bratanek jarli Sigrúny, oraz jeden z jej drengrów, a zaraz za nim trzech innych wojowników. Guðvarr szedł swobodnym, rozkołysanym krokiem i zatrzymał się między dwoma drewnianymi filarami na szczycie szerokich schodów wiodących na podwórze. U boku miał miecz, a jego czerwoną tunikę zdobił wijący się splot u szyi, rękawów i u dołu ubrania. Na ramieniu nosił srebrną bransoletę. Czarne włosy miał naoliwione i zaczesane do tyłu, związane na karku rzemieniem i srebrnym drutem, na twarzy kiełkowały mu zaczątki brody. A na czubku jego szpiczastego nosa wisiał glut.

Orka spuściła wzrok na syna. Sądząc po tym, jak rozjaśniło mu się spojrzenie, byle wyrostek z mieczem urastał w jego wypełnionym sagami umyśle do rangi bohatera.

– Co tu się dzieje? – rzuciła Orka do Virka, który stanął przy jej boku. Choć wysoko sięgał głową, musiał podnieść wzrok, by spojrzeć jej w oczy.

– Guðvarr dziś rano przyплыł rzeką na swojej snece. Podobno jarla posłała go przodem, nim sama wróci do wioski.

– Nie ma jej tu?

Virk popatrzył na Orkę, jakby była księżycotkniąta.

– Została wezwana... – Odkasznął. – Znaczy się zaproszona na dwór królowej Helki w Darlu. Nie ma jej od dwóch miesięcy.

Orka uniosła brwi i kiwnęła głową.

– Słuchajcie, ludzie! Mam wieści! – zawołał Guðvarr, uciśniętym głosem.

Pozwolił ciszy narosnąć, wyraźnie czerpiąc radość z tego, że znalazł się w centrum uwagi.

– Mam wam powiedzieć, że jarla Sigrúna wróci do nas w ciągu dziewięciodnia. Prosiła, bym wam przekazał, że królowa Helka jest prawa, dobra i mądra, i że jest cała masa gorszych niż ona kandydatów do składania przysięg. Gdy znajdziemy się pod jej opieką, skorzysta na tym cała wioska.

– Opieką! – wycedził Virk. – Jeszcze niedawno byliśmy wszyscy w Fellurze wyzwolencami, a królowe i królowie byli tylko jarłami, co wyżej srali, niż dupę mieli.

Orka miała podobne zdanie.

– Nie pod opieką, tylko we władaniu – odrzyknął Virk, a inni w tłumie przyszli mu w sukurs.

– Czasy się zmieniają – odpowiedział Guðvarr, gromiąc spojrzeniem rybaka. – Od zachodu zagraża nam jarl Störr, væsenidzi poczynają sobie coraz śmielej, mordując, kogo popadnie. Lepiej więc sprzymierzyć się z kimś silnym, a królowa Helka jest najsilniejsza. – Po tłumie przebiegły szept. – Gdy wróci jarla, na Przysiężnej Skale odbędzie się Althing. Wówczas każdy będzie miał możliwość wypowiedzenia się na dotyczące nas ważne sprawy – mówi dalej Guðvarr, wskazując gestem kamienistą wysepkę na środku fiordu, zieloną od mchu i gęsto porośniętą paprociami i drzewami, które połamał wiatr. Z ciżby podniosły się głosy sprzeciwu i pytania. – Zachowajcie swoje jojczenie dla mojej ciotki i Althingu – warknął młodzian. – Ja nie mam nic więcej do dodania.

Orka wzięła lejce od Breki i cmoknęła na kucyka. Ludzie rozstąpili się, by ją przepuścić, i wóz potoczył się przez tłum.

– Drengr Guðvarr! – zawołała Orka dźwięcznym, przenikliwym głosem, który przedarł się przez gwar.

Młodzian przystanął i obejrzał się na nią, ogarniając też wzrokiem Brekę i wóz. Otarł stygnący mu pod nosem sopol. W całkowitej ciszy kobieta podprowadziła furę pod same schody, po czym wstrzymała kucyka. Wóz zaskrzypiał i znieruchomiał.

– A cóż to? – spytał Guðvarr, schodząc dwa stopnie niżej, wczepiony wzrokiem w zakrwawiony koc. Trzej wojownicy – dwie kobiety i jeden mężczyzna – stanęli zaraz za jego plecami. W rękach dzierżyli włócznie, a ich pasy obciążały topory i saksy.

– To Asgrim i Idrun – oznajmiła Orka. – Polowałam z mężem i synem na wzgórzach. Usłyszeliśmy krzyk, ruszyliśmy sprawdzić, skąd dobiega, a potem znaleźliśmy Asgrima i Idrun zamordowanych w ich gospodarstwie.

Ściągnęła koc. Gapie przy wozie zachłysnęli się powietrzem.

– Sami widzicie! – Guðvarr podniósł głos. – Væsenidzi się ją śmierć w naszym domu. Potrzebna nam siła królowej Helki.

– To nie sprawka væsenidów – powiedziała Orka.

– Doprawdy? A skąd ty możesz to wiedzieć? – spytał Guðvarr, spoglądając na nią podejrzliwie. Pod jego nosem znowu zaczęła rosnąć kropla ciekącego śluzu. – Czy jesteś czarownicą, że widzisz przeszłość? – Utkwił w Orce spojrzenie zaprawione szyderczym uśmiechem, jakby właśnie pokonał ją w sporze.

– Nie trzeba być czarownicą, by rozpoznać ranę po mieczu. Væsenidzi zabijają kłami i szponami, nie żelazem. – Zrobiła pauzę, nie odrywając oczu od jego uśmiešku. – Drengr Guðvarr, przyboczny samej jarli, tyle chyba powinien wiedzieć.

Pożałowała tych słów, zanim jeszcze opuściły jej usta. Wiedziała, że przyniosą jej tylko kłopoty. Ale nie podobał jej się ten dufny uśmiešek.

Ktoś w tłumie zachichotał i Guðvarr zrobił się czerwony jak rak. Skrzywił się na Orkę.

– Samotnicy, co mieszkają w dziczy, sami proszą się o kłopoty.

– Asgrim i Idrun nie prosili się o to.

– W dodatku ktoś porwał ich syna Hareka – rozbrzmiał piskliwy głos Breki.

– Słyszeliście, ludzie? Uprawdzili dziecko – włączył się do rozmowy Virk. – Nie pierwszy raz o tym słyszę.

Orka obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

Guðvarr zszedł po schodach i stanął przed kobietą. Była wyższa i szersza od niego, ale jego oczy lśniły pychą silnych, przekonanych, że zawsze okażą się lepsi od przeciwnika. Orka poczuła mrowienie, jej zmysły się wyostrzyły. Ciało gotowało się do walki.

– Jeśli mówię, że prosili się o kłopoty, to znaczy, że się prosili – powtórzył Guðvarr głosem jak syk węża, jak miecz wysuwający się z pochwy. – Tak jak ty teraz prosisz się o nie.

Trzej wojownicy na schodach zrobili krok w ich stronę, nie odsuwając rąk daleko od broni.

Orka wpatrywała się w Guðvarra, czując, jak drgają jej mięśnie twarzy. Jak krew pulsuje w żyłach. Słyszała w głowie dalekie głosy, krzyki, widziała topór miażdżący czaszkę...

– Ty drżysz – zauważył Guðvarr. – Boisz się mnie? Mądrze z twojej strony.

Orka mrugnęła, sama pochwycawszy wzrokiem drzenie swojego ramienia, które przeszło na włócznie. Spojrzała na Brekę, który skakał zafrasowanym wzrokiem od niej do Guðvarra.

Wzięła głęboki wdech.

– Przywozłam ich tutaj, bo uznałam, że jarla Sigrúna chciałyby wiedzieć, że po jej wzgórzach grasują mordercy i dzieciokradcy – powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. Jej serce waliło jak młotem, szum krwi wypełniał uszy. Postanowiła się opanować. A przynajmniej spróbować. – Oraz by sprawdzić, czy Asgrim i Idrun nie mają tu jakiejś rodziny. Powinni spocząć w kurhanie, jak każe obyczaj.

Cisza. Guðvarr gapił się na Orkę. Beznamiętnie odwzajemniała jego spojrzenie. Czuła, jak żar spływa z jej ciała, a zamiast niego jej żyły wypełniają się chłodem. Jakaś jej ukryta głęboko cząstka wiedziała, że to zły znak.

– Mamo. – Głos przesączył się przez lodową mgłę spowijającą jej umysł. – Mamo, tata wraca – rzekł ten sam głos i coś skubnęło jej rękaw.

– Orka.

Głos Thorkela.

Kobieta zamrugnęła, oderwała wzrok od Guðvarra i ujrzała nadchodzącego męża. Tropiciel przepychał się przez tłum z włócznią w ręce i mokrą od potu czapą na głowie.

– Wszystko gra? – spytał, wodząc wzrokiem od Orki do Guðvarra i pozostałych drengów na schodach. Ściągnął czarne brwi, nachmurzony jak niebo przed burzą, zaciskając usta w ciasną linię. Orka spostrzegła w nim narastający gniew i Thorkel jakby urósł. Światło odpłynęło z jego oczu, które stały się lodowate i martwe.

– Mówiliśmy o wzniesieniu kurhanu dla Asgrima i Idrun – oświadczyła Orka, wolno i długo spuszczać powietrze z płuc. Wymusiła powitalny uśmiech na swoich ustach, a twarz Thorkela odtajała nieco.

Guðvarr przeniósł spojrzenie z męża na żonę. Widziała, że mierzy wzrokiem Thorkela i jego włócznię.

– Mój mąż tropił morderców Asgrima. To oni zabrali jego syna Hareka.

– Znalazłeś ich? – spytał Guðvarr.

– Nie – odparł Thorkel.

Warga drengra odciągnęła się i uformowała to, co Orka wzięła za jego zwyczajowy uśmieszek.

– Podążyłem za tropem nad rzekę – mówił dalej Thorkel. – Jedną z wielu, która spływa ze wzgórz do Skarpainy. Odnalazłem ślady trzech wyciągniętych na brzeg łodzi. Ktokolwiek zabił Asgrima i Idrun, odpłynął.

Guðvarr pokiwał głową.

– Zajmiemy się tym.

Orka zastanawiała się, czy nie spytać go, ile włóczy ma zamiar zabrać, czy weźmie ze sobą psy, czy pośle łodzię w górę Skarpainy. Zamiast tego przeniosła wzrok z Thorkela na Brekę.

To nie nasza walka. Nie nasza sprawa.

– Do domu – powiedziała i ruszyła ku bramie.

VARG

Varg wyszedł na dziedziniec przed salą miodową, przeszedł nad kałużą krzepnącej krwi i zatrzymał się na środku.

Jego własna krew szumiała mu w uszach, tłumiąc dźwięki otoczenia, ale widział uśmiechnięte twarze i poruszające się usta, monety przechodzące z rąk do rąk. Jedna kobieta z dwoma wilczurami przy nogach taksowała go wzrokiem, ogryzając jabłko. Była smukła i dobrze umięśniona, o srebrnoszarych włosach splecionych jak lina. Jej pusty oczodół przecinała blada blizna. Miała na sobie brynję, a w dłoni włócznię, przy pasie topór i saks. Nie za stara, by wciąż trudnić się wojaczką? – pomyślał, widząc głębokie bruzdy wokół oczu i ust. Gdy ich spojrzenia się spotkały, kobieta uśmiechnęła się do Varga, ale był to uśmiech bez wyrazu. Taki, którym obdarza się głupca twierdzącego, że zaraz sfrunie sobie z klifu jak ptak.

Rzuciła ogryzek na ziemię i wyłowiła z sakwy przy pasie monetę, którą przekazała mężczyźnie obok.

Zakładają się, jak szybko padnę.

Einar nachylił się, by powiedzieć coś do siwobrodego mężczyzny i wytatuowanej kobiety. Gdy to robił, szmatą wycierał zakrwawione knykcie, a potem przekazał ją wojownicze obok – wysokiej i jasnowłosej kobiecie, innej Krwiozaprzysiężonej, z czarną tarczą opartą o nogę. Przyjęła szmatę i wsunęła ją za pas, po czym podniosła tarczę. Napotkała wzrok Varga, podeszła i podała mu ją.

Varg spojrział na koło z klejonej lipy, otoczone okuciem zakrytym skórą, oraz na żelazne umbo w środku. Po wewnętrznej stronie znajdował się żelazny pierścień, przez który przekładało się przedramię, oraz uchwyt, na którym zaciskało się dłoń.

– Bardziej ci się przyda, jak weźmiesz ją do ręki, zamiast tylko patrzeć – poradziła mu kobieta. Miała długi nos i ostro zakończony podbródek.

Varg pokręcił głową.

– Nie chcę – powiedział.

– Z byka spadłeś? Jak długo wytrzymasz bez niej z Półtrollem?

Mężczyzna znowu pokręcił głową. Prawda była taka, że nigdy wcześniej nawet nie trzymał tarczy w ręku.

– Jak chcesz, to twoje życie. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– Możesz potrzymać? – poprosił Varg, nim odeszła, a następnie złożył swój płaszcz i podał jej.

Kobieta przyjęła go, ale zaraz skrzywiła usta i rzuciła ubranie na ziemię.

– Nie jestem niczyją niewolnicą, więc mi nie rozkazuj – oświadczyła. – Jak cię zwą?

– Varg – odparł.

– On ma tylko pół imienia – zawołał do nich Svik.

– Mózgu chyba też – odkrzyknęła kobieta na odchodnym. –
O MIEJSCE WŚRÓD KRWIOZAPRZYSIĘŻONYCH STOCZY
TERAZ WALKĘ Z EINAREM PÓLTROLLEM VARG PÓŁ-
GŁÓWEK! WIOSŁO I WŁÓCZNIA! – wrzasnęła, wracając
do lysego mężczyzny i Einara.

Tłum zawył, gdy wojownik wystąpił na plac. Einar zmarszczył brwi, nie widząc tarczy na jego przedramieniu, ale nie zwolnił kroku.

Z bliska wydawał się jeszcze większy. Jego twarz w całości składała się ze zwałów obrosniętej mięsem kości i czerwonej szczeciny, a pięści miał wielkie jak kowadła.

Varg dotknął sakwy przy pasie, zerknął na czarownicę Volę, która przyglądała mu się ciemnymi oczami, a później wrócił spojrzeniem do przeciwnika.

To dla ciebie, Frøya. Wszystko to robię dla ciebie, pomyślał.

Nabrał tchu, potrząsnął ramionami i nogami, stanął na palcach, potem na piętach.

Einar górował nad nim, przysłaniając słońce.

– Jak już padniesz, lepiej się nie podnoś – wycharczał olbrzym i wyprowadził prawy sierpowy.

Varg uchylił się przed rozpędzoną pięścią, która świsnęła mu nad głową, i dał susa naprzód, wypuszczając serię ciosów w mięsiste brzuszysko Einara. Równie dobrze mógłby walić w drzewo. Einar nie dał po sobie poznać, że poczuł cokolwiek. Varg skoczył w prawo, umykając przed kolejnym sierpowym, który przefrunął mu nad głową, po czym z rozmachu kopnął Einara w kolano. Dryblas jęknął, a broda drgnęła, gdy wykrzywił usta w bolesnym grymasie.

To już poczujesz, co?

Olbrzymia pięść niczym młot pomknęła w kierunku Varga, który zakotłosał się na nogach i dał nura w prawo, a potem sam wyprowadził cios prosto w krocze rywala.

To nie była jego pierwsza walka. Bił się na farmie wiele razy. Pierwszy raz, nim jeszcze zaczęła mu rosnąć broda, pobił się z innymi niewolnikami o miskę stawy dla Frøi, która leżała owładnięta gorączką. A później częściej, gdy przekonał się, że to pewny sposób na zarobienie kilku monet lub otrzymanie dodatkowego posiłku. I wreszcie dla Kolskegga, kiedy ten usłyszał o jego prędkich pięściach. Pan wystawiał Varga do walki

z czempionami z innych gospodarstw. Varg zarobił dla Kolkegga całą skrzynię srebra, walcząc z wieloma mężczyznami i kobietami większymi i silniejszymi od siebie, ale nigdy jeszcze nie bił się z mężczyzną, który ustałby na nogach po ciosie w jaja, choćby nie wiadomo jaki był wielki i silny.

Cios Varga był doskonale odmierzony – piękny prawy prosty – nogi ustawione jak należy, uderzenie wyprowadzone skrętem całego ciała. Zdziwił się, gdy zamiast wbić się kłykciami w słabiznę, te nieomal strzaskały się w zetknięciu z czymś twardym jak żelazo.

Ból wybuchł w jego ręce i pobiegł aż do ramienia, a Varg zachwiał się i cofnął o krok.

– Ha! – wyszczerzył się Einar. – Inni kurduple próbowali już tego przed tobą. Kowal Jökull dał mi coś do obrony.

A potem olbrzym zamachnęła się pięścią masywną jak połącz mięsa, celując w twarz Varga. Choć ból był nieznośny, ten zdołał uchylić się przed ciosem, ale ręka rywala trafiła go w ramię. Uderzenie wyrzuciło go w powietrze. Varg upadł z chrzęstem na ziemię i przetoczył się w błocie.

Einar pomknął za nim.

Varg wygramolił się na czworaki, tuląc do ciała ranną pięść. Fale mdłości rozlewały się z żołądka na resztę ciała. A potem bucior Einara wbił się w jego żebra i Varg znowu pofrunął w powietrze.

Przez zmrużone oczy widział pędzący w jego stronę grunt i jeszcze raz zanurkował w błocie. Wszystkie gwiazdy rozbłysły mu w głowie, zamazało się przed oczami, a żebra zapłonęły bólem. Zmusił się, by przetoczyć się po ziemi, wspiął się na jedno kolano i ponownie zobaczył szarżującego na niego Półtrolla.

– Mówilem, żebyś leżał – zawarczał dryblas.

Przez mdłości przebił się kielkujący we flakach Varga gniew. Ring był jedynym miejscem, gdzie nikt nie mógł mówić mu, co ma robić. Gdzie był wolny. Gdzie jego furii nie pętały żadne łańcuchy. Płonęła teraz w jego krwi, rozgrzewając go do białości.

Varg ugiął nogi i wybił się potężnie obunóż w stronę Einara, rycząc jak dzikie zwierzę. Przetoczył się między nogami przeciwnika i błyskawicznie stanął za jego plecami. Grzmotnął go zdrową ręką prosto w nerkę, a następnie kopnął w kolano, które złożyło się niczym scyzoryk.

Tłum zamilkł, jakby wszyscy naraz wstrzymali oddech, a potem ryknął.

Einar odwinął się i chlasnął Varga na odlew, muskając końcami palców bok jego twarzy. Cios był słabszy od poprzednich, ale i tak powalił Varga na ziemię. Einar dźwignął się na nogi z twarzą wykrzywioną bólem i uniósł obutą stopę, chcąc wdeptać przeciwnika w grunt.

Varg przeturlał się bliżej i owinał ramieniem jego kostkę, gdy but uderzył o ziemię, a potem przywarł do niej.

– Jakbym wlał w gówno – warknął Einar, usiłując strząsnąć Varga ze swojej nogi, ale ten ani myślał puścić. Ból przetaczał się falami przez całe jego ciało i Varg czuł, że długo już nie wytrzyma. Rozwarł szczęki i wgrzył się w nogę Einara, przebijając zębami pasy materiału i bryczesy, sięgając łydki.

Olbrzym zawył.

Varg poczuł w ustach żelazisty posmak krwi i wżarł się głębiej. Wycie przeszło w pisk. Einar nagle znieruchomiał, ale Varg pochwycił spojrzeniem frunącą ku niemu pięść. Wpił się mocniej, aż zabolaty go zęby, a później białe światło wybuchło w jego głowie.



Ból. Jakby ktoś walił go po głowie młotem. I dźgał go nożami w bok. A dłoń miażdżył w imadle. Próbował otworzyć oczy, ale mu się nie udało.

Czy ja umarłem? Czy to Vergelmir, komnata Lik-Rify? A może jakiś psotnik skleił mi powieki?

Jeszcze więcej bólu, całe ciało płonące żywym ogniem – głowa, żebra, ręce.

Varg stęknął i przetoczył się na plecy, a nagrodą za jego trud były usta pełne piasku. Uniósł zdrową rękę do twarzy i poczuł, że zalepia je strup. Przetarł powieki i spróbował je otworzyć.

Na niebie księżyc i gwiazdy, a wokół nich niebo czarne jak śmierć.

A więc żyję.

Przez chwilę nie pamiętał, co się właściwie stało. Nie wiedział, gdzie się znajdował i jak tu trafił. Przebiegł językiem po zębach, smakując sól i żelazo. Wypłuł na piasek krwawą plwocinę.

To nie tylko moja krew.

Przypomniał sobie, że ktoś jęczał z bólu. I przed oczami stanął mu obraz pędzącej w jego kierunku pięści. A potem tama pękła i wspomnienia zalały jego umysł.

Einar Póltroll, Krwiozaprzysiężeni...

Dźwignął się do pionu i zobaczył, że siedzi na czarnym piasku plaży, a za jego plecami wiatr wzdycha w gałęziach drzew. Nad Ligą świeciła luna, jakby w niebo sączyła się poświata dogasającego ogniska, zamkniętego w drewnianej misie palisady. Okręty skrzypiały, kołysząc się w cumach, a księżyc i gwiazdy zalewały tafel ciekłym srebrem.

Przyłożył kolejno rękę do tych obszarów ciała, które rwały najmocniej. Wymacał żebra przez wełnianą tunikę. Pewnie złamał jedno lub dwa. Skóra cała. Obejrzał ranną rękę o fioletowo-czarnych kłykciach. Opuchnięta. Spróbował zacisnąć pięść, ale nabrzmiałe ciało nie chciało go słuchać. Później przyłożył zdrową rękę do twarzy. Rozcięcie nad okiem zarośnięte zaschniętą krwią. Opuchlizna pokrywała cały policzek i pół czoła, zuchwa pulsowała bólem. Ząb mu się ruszał.

Przejechał palcami po obroży na szyi. Panika.

Mój klucz. Mój płaszcz.

Zachwiał się, wstając na nogi, nie zważając na ból, i obszukał się, odetchnąwszy z ulgą, gdy znalazł przy pasie swoją sakwę. Palce zaplątały mu się w rzemień, kiedy ją otwierał, a na-

stępnie wyrzucił powietrze z płuc, gdy odkrył, że zawartość wciąż jest na miejscu.

Ale moja obroża...

I wtedy zobaczył ciemniejszy cień na czarnym piachu. Jego wełniany płaszcz złożony w kostkę. Schylił się, podniósł go i sprawdził ukryte kieszenie. Wyczuł przez materiał coś ciężkiego i zimnego: tasak, który dostał od handlarza. W tej samej kieszeni sakwa z pieniędzmi, sądząc po ciężarze – nieuszczuplona. A potem znalazł klucz.

Spłynęła na niego ulga i na długi moment zastygł w bezruchu z przymkniętymi oczami, a gdy się otrząsnął, włożył klucz do zamka i przekręcił. Obroża otworzyła się, skrzypiąc zardzewiałymi od potu zawiasami, a Varg zdjął ją i włożył razem z kluczem do kieszeni płaszcza.

Ruszył przed siebie na chwiejnych nogach, kucnął przy samej wodzie, złożył ręce i przepłukał usta. Lodowate zimno poraziło go i otrzeźwiło. Spryskał twarz i dłuższą chwilę zmywał z niej zaschniętą krew; pokręcił głową, pryskając kropelkami. Wstał, drżąc, i niezgrabnie zarzucił sobie płaszcz na ramiona, zapiął go i powłókł się ku linii drzew.

Wszedł między nie i zaczął wspinać się po łagodnej pochyłości pomiędzy sosnami, pokonując może trzydzieści, czterdzieści kroków. Gdy się obejrzał, nie widział już za sobą połyskującej tafli fiordu. Z nieba sączył się przez poruszane wiatrem gałęzie blask księżyca, rysując się płynącymi po ziemi plamami światła. Opadł na kolana, zdrapał ściółkę, aż oczyścił do gołego gruntu niewielkie koło, a potem poszedł po chrust. Wrócił z naręczem suchego drewna i ułożył je w kole, sięgnął po sakwę z podpałką, wyjął hubkę i krzesiwo, po czym zabrał się do krzesania ognia. Niebawem rozdmuchiwał już pierwsze iskry i płomyk zbudził się do życia.

Dobrze, że miał jakieś zajęcie, bo czuł, jak narasta w nim rozpacz.

Zawiódł.

Usiadł i wyciągnął ręce do ognia, chcąc wypędzić ziąb z kości. Zawiesił wzrok na płomieniach.

Przepraszam, Frøya.

Czuł, jak potężnieje z każdą chwilą rozpacz zepchnięta gdzieś na tył głowy, na dno serca, skryta za grubym murem, by się stamtąd nie wydostała. A ona drapała ściany, zimna i nieustępliwa, grożąc przebicciem się na drugą stronę. Varg wsparł głowę na rękach, a w jego piersi wezbrał szloch, który pełził niepowstrzymanie do gardła i ust. Łzy potoczyły się po policzkach, a wspomnienia o Frøi załazyły umysł. Jego siostra. Jedyna bliska mu osoba.

Nie pamiętał ojca ani matki, wiedział o nich tylko tyle, ile zdradził mu Kolskegg, który kupił jego i siostrę, gdy byli jeszcze dziećmi. Pan powiedział mu, że zapłacił za nich bochen chleba i tuzin kaczych jaj, kiedy Varg miał tylko pięć zim, a Frøya cztery. Całe życie spędzili w niewoli, mając jedynie siebie. Jego ręka spoczęła na sakwie przy pasie.

A teraz nie żyje, a ja nie wiem, jak ją pomścić.

Po jakimś czasie Varg podniósł wzrok, przetarł oczy i skrzywił się z bólu.

To jeszcze nie koniec, obiecał sobie. Zbyt daleko zaszedłem, by się teraz poddać. Gdzieś w całej krainie Vigrið musi być galdurmag albo seiðrwieðzma, którzy pomogą mi, gdy im zapłacę. Znajdę jedno albo drugie, choćby schowali się pod ziemią. A jeśli nie znajdę ich po tej stronie morza, to pokonam wielorybi szlak, przedostanę się do Iskidanu i przeszukam całe Strzaskane Krainy, aż w końcu napotkam kogoś, kto będzie mógł mi pomóc. Nie zatrzymam się, nie cofnę przed niczym.

Wciągnął do płuc haust powietrza, spychając bolesne wspomnienia z powrotem na przypisane im miejsce w ciemnej głębinie na samym krańcu pamięci.

Wtedy usłyszał gdzieś w lesie trzaśnięcie gałązki.

Nie myśląc, zerwał się na nogi i rozkopał ognisko, rozsypując dokoła iskry. Stał, wsłuchany w głośniejszą, wbijając wzrok w czarne cienie.

Niski, gardłowy warkot.

Jakaś postać wystrzeliła spomiędzy drzew, mężczyzna ciągnięty przez psa na smyczy, a za nim inne kształty, inne cienie. Pies rzucił się na Varga, ale ten odskoczył na bok i odepchnął go lewym ramieniem. Impet cisnął nim o drzewo, a pies wyładował w ognisku. Trysnęły iskry, pies zaskomlał, gdy zapaliła się sierść.

– Myślałeś, że wiecznie będziesz przed nami uciekał? – warknęła obchodząca psiarza kobieta, mierząc włócznią w pierś Varga.

Varg odepchnął się od drzewa i sięgnął pod płaszcz, a w tym samym momencie włócznia wbiła się tam, skąd właśnie umknął. Wyszarpnął tasak i jednym uderzeniem przerwał drzewce. Schylił się, gdy kobieta ujęła je oburącz i zamachnęła się na niego jak maczugą, celując w czaszkę. Varg chlasnął tasakiem i odtoczył się w tył. Wrzask. Kobieta złapała się za żebra i opadła na kolana.

Pies tarzał się po ziemi, skamłąc i piszcząc. Opiekun zdarł z siebie płaszcz i owinał nim zwierzę, usiłując zdusić płomienie. Z mroku wyłonili się kolejni ludzie. W ciemności nie widział dokładnie ilu, ale co najmniej trzy osoby. Z wyraźnie zarysowanymi w świetle ogniska grotami włóczni. Rozejrzał się wokoło, szukając drogi ucieczki. Ktoś uderzył go drzewcem w nogi. Varg zachwiał się, próbując odzyskać równowagę. Potknął się o korzeń i opadł na kolano. Nieopatrznie wyrzucił przed siebie poobijaną rękę i krzyknął z bólu.

Kolejne uderzenie, tym razem w bark. Zarył twarzą o grunt, łapiąc do ust ziemię i sosnowe igły. Przetoczył się na bok i sieknął na oślep tasakiem. Poczul, że zahaczył o czyjąś nogę, i usłyszał wrzask. Mężczyzna padł na ziemię obok niego i broń wymasknęła się Vargowi z palców.

Znikąd pojawił się but, który trafił Varga w pierś, gdy ten usiłował się podnieść. Kolejna noga przygniotła go do ziemi za nadgarstek. Varg syknął, szarpnął się, próbując wstać, a wtedy

drzewce huknęło go przez czoło i opadł bezwładnie na ściółkę. Krew spłynęła mu do oczu. Włócznia zawisała nad jego gardłem, a jeszcze jeden mężczyzna przygoździł do ziemi drugi jego nadgarstek.

Varg skierował wzrok ku górze, czując w głowie dzikie pulsowanie krwi.

– Myślałeś, że cię nie odnajdę? – wycedził stojący nad nim mężczyzna.

Połowę jego twarzy opromieniał rozedrgany ogień, druga tonęła w mroku. Szerokie bary, czarna broda, blizna przecinająca usta, wykrzywiająca je zastygłym, pogardliwym uśmiechem.

– Leif – wypluł Varg. – Nie powinienes być mnie śledzić.

– Ha! A ty powinienes być uciekać szybciej i dalej po tym, co zrobiłeś mojemu ojcu. Zaszlachtowałeś go jak wieprza. Poznałem go tylko po łańcuchu.

Varg tego nie pamiętał. To był szal. Zapanował nad sobą dopiero, gdy wydusił ze Snepila resztki życia. Wtedy usiadł i oparł się o ścianę, skołowany, utyłany we krwi.

– Zgubiłeś obrożę, Vargu niewolniku – podjął Leif.

– Nie jestem już niewolnikiem – odwarknął Varg. Z trudem wciągnął powietrze do płuc. – A twój ojciec mnie oszukał. Zapracowałem na swoją wolność, a on złamał przysięgę. Jestem wyzwolencem, takim samym człowiekiem jak ty.

Jeden z dociskających go do ziemi mężczyzn kopnął go w usta. Varg wypluł krew. Leif śmiał się.

– Jesteś niewolnikiem i należysz teraz do mnie. Jesteś moją własnością. Moją, Leifa Kolskeggsona, syna człowieka, którego zabiłeś. – Leif obejrzał się na jednego ze swoich ludzi. – Załóżcie temu kundlowi obrożę i łańcuch. – Przytknął grot włóczni do piersi Varga i przesunął w bok, a potem wolno zjechał nim po żebrach, naznaczając je krwawą krechą. – Nie mogę nie upuścić ci krwi, ale nie zabiję cię. Śmierć to zbytek łaski dla takiego śmiecia jak ty – powiedział.

Wbił włócznię w ziemię i kucnął przy Vargu, a następnie przeszukał go, by sprawdzić, czy nie kryje przy sobie broni. Gdy sięgnął pod płaszcz, zadźwięczał metal. Wyjął spod niego sakwę z pieniędzmi.

– Niechybnie podwędzone ojcu – stwierdził Leif i napluł Vargowi w twarz. – Przywiążę cię do mojego konia i będę włócił aż do gospodarstwa – mówił wolno, uważnie dobierając słowa, które drżały od złości w jego głosie. – A tam będziesz chłostany, aż nie będziesz mógł ustać. Nie przestanę cię batożyć, póki nie zobaczę kości. A później wrócisz do roboty. Dla mnie. Będziesz zarabiał dla mnie pieniądze do usranej śmierci.

Varg zaszamotał się, szarpnął i wydobył jedną rękę spod buta. Natychmiast spadł na niego grad kopniaków. Zaległ na ziemi, dysząc.

– Moja noga – zastękał głos tego, którego Varg zahaczył tasakiem. Ostrze wciąż tkwiło w jego ciele.

– Trafił mnie, drań – wizgnął inny głos. – Połamał mi żebra.

Kobieta siedziała oparta o drzewo z ręką przyciśniętą do wilgotnej rany w boku. Leif wstał, podszedł do mężczyzny i schylił się, złapał tasak i wydobył go z jego nogi, wzbudzając piskliwy wrzask.

– Orl, opatrz ich rany – rozkazał Leif mężczyźnie wciąż siedzącemu przy ognisku i oklepującym psa, z którego sierści nadal unosił się dym.

Ogień został już ugaszony, ale zwierzę skamlało z bólu, a na jego grzbiecie ziały czarne łaty. Orl wstał i podszedł do rannych, łpiąc gniewnie na Varga. Był starszy od pozostałych, siwowłosy i chudy, a na jego szyi wisiała żelazna obroża.

– Zraniłeś moją sukę – wymamrotał do niego, wyciągając nóż i klękając przy rannej kobiecie, by zaraz rozciąć jej tunikę i oczyścić ranę. Kulawy pies nie odstępował go na krok.

Leif zważył tasak w dłoni.

– Zamordowałeś mi ojca – powiedział i machnął prowizoryczną bronią. – I zakatrupiłeś jeszcze trzech wyzwolenców. –

Dwa kolejne cięcia świsnęły w powietrzu. – A teraz pochłastałeś dwóch innych ludzi z mojego hirtu. – Wskazał Varga tasakiem. – Myślę, że część kary wypłacę ci od razu. Żebyś miał o czym myśleć w drodze powrotnej. – Popatrzył na dwóch mężczyzn stojących nad Vargiem. – Przytrzymajcie mu rękę.

Varg gapił się na Leifa, a potem na dwóch mężczyzn, z których jeden złapał go za ramię, a drugi wykręcił mu rękę do tyłu.

On odrąbie mi dłoń.

Varg szarpnął się w ich uścisku, zaszamotał szaleńczo, ale siepacze trzymali go mocno. Poczul w ramieniu ostry ból, gdy jeden z nich nieomal nie wyrwał mu kończyny ze stawu. Varg oklapł, dysząc zrywami.

– Nie obawiaj się. Gdy wrócimy do domu, każę Orłowi wyrzeźbić ci dłoń z drewna, żebyś mimo wszystko mógł urabiać sobie dla mnie po łokcie obie ręce – wycedził Leif, krzywiąc usta.

Wtedy gdzieś za nim trzasnęła gałązka. Mężczyzna zamarł i wszyscy jak jeden mąż wpatrzyli się w ciemność.

Z lasu wyszedł jakiś człowiek. Wysoki, barczysty, o łysej głowie i siwej brodzie. Jego kolczuga lśniła w świetle księżyca. Trzymał w obu rękach wielki, obusieczny topór, tak jak wędrowiec trzyma kostur. Za jego plecami majaczyły cienie, widoczne w mroku ciemniejsze plamy w kształcie ludzi. Obok niego pojawiła się srebrnowłosa kobieta z dwoma wilczurami przy nogach. Szczerzyły kły, nastroszone jak jeże.

– Puśćcie go – nakazał siwobrody.

Leif wznosił wysoko tasak.

Przybysz puścił się biegiem, tak szybko, że Varg nie nadążył za nim wzrokiem, a chwilę później Leif złożył się jak scyzoryk, zaś tasak upadł na ziemię. Mężczyźni trzymający Varga jak na komendę złapali za włócznie i rzucili się na łysego nieznanego, podczas gdy Leif kaszlał i charczał, wymiotując.

Obydwa wilczury dały susa naprzód, zaciskając szczęki na ramieniu i nodze jednego z siepaczy, natychmiast go powalając.

Coś trzasnęło i spomiędzy drzew wyłonił się Einar Póltroll, jednym ciosem posyłając kolejnego draba na łopatki. Następna postać przemknęła obok siwobrodego: Svik, ten szczupły rudzielec, który śmiał się z Varga w Lidze. Mężczyzna obnażył zęby, mknąc na przeciwników z saksem w garści, połyskującym zimną stalą. Zszedł z drogi pędzącej ku niemu włóczni, w dwa kroki znalazł się przy jej właścicielu, sunąc saksem po drzewcu. Mężczyzna wrzasnął, gdy jego palce posypały się na ziemię. Broń wysunęła mu się z rąk, a wtedy Svik ucapił go za tunikę i szarpnął ku sobie, waląc go bykiem prosto w twarz. Tamten upadł z bulgotem.

Na polanie zaległa cisza. Słyszeć było tylko cichy szmer wielu oddechów, wiatr w koronach drzew i stękanie Leifa. Varg gapił się na pokonanych, zbyt zdumiony, by się poruszyć. Kol-skeggson wciąż klęczał z jedną ręką przy kroczu. Ślina ciekła mu z ust. Orł siedział przy drzewie z wybałuszonymi oczami. Jego suka warczała na napastników.

Svik podszedł do starca i warknął na sukę głębokim, zwierzęcym głosem, a ona podkuliła ogon, pisnęła i wtuliła się w swojego pana. Svik zaśmiał się, ścierając krew z czoła i zaplecionych włosów. Siwobrody minął Leifa i stanął nad Vargiem.

– On należy do mnie – wykrztusił Leif. – To mój niewolnik mocą wergildu. Musi odpowiedzieć za morderstwo.

– Nie – zaprzeczył siwobrody głosem jak sypiący się żwir. – Teraz jest jednym z Krwiozaprzysiężonych.

5

ELVARA

Wszyscy jesteście worami trollowego gówna! – wrzasnął Sighvat, wybijając rytm na starej tarczy zasupłanym kawałkiem liny.

Elvara zagryzła zęby i pociągnęła za wiosło, aż zaboląły ją mięśnie pleców i ramion. Fala uniosła dziób drakkara, który celował teraz w szare niebo, a wiosło Elvary wyprysnęło z wody. Poczwała w żołądku, że mknie w dół, i na moment straciła równowagę, prawie ześlizgując się ze swojej morskrzyni. Dziób opadł ostro, rozcinając fale. Morska woda buchnęła ponad burty, a wiatr rzucił ją Elvarze w twarz. Rękawem otarła z czoła drobinki lodu, a wraz z nimi kosmyk jasnych włosów. Poprawiła uścisk na wiosle, zrównała się z rytmem, znów miarowo napinając i rozluźniając mięśnie, których każde włókno piekło bólem. Przed sobą widziała tylko obszerne plecy Grenda i jego szpakowate, pociemniałe od potu i morskiej bryzy włosy. Zza nich wyłonił się na moment grubas Sighvat, wystukujący rytm, a jeszcze dalej stał na rufie wódz

Agnar. Rechotał, jakby był na biesiadzie, a brzuch miał pełen miodu, i wiatr szarpał jego jasnym warkoczem. Trzymał ster, mocując się z falami, prowadząc „Sztormowłada” pomiędzy dwoma cyplami, mając za plecami już tylko otwarte morze i chmurne niebo.

– RRRAZ! – zawołał znów Sighvat i pięćdziesiąt wiosel zanurzyło się w spienionej wodzie, a potem plecy wiosłarzy odchyliły się ku dziobowi, gdy „Sztormowład” orał dla siebie ścieżkę pośród fal.

– ŁĄD! – zagrzmiął głos z rufy drakkara i Elvara poczuła przypływ sił. Ogarnęła ją nadzieja, że może harówka przy wiosłach wreszcie się skończy. Wyspę Iskalt znaleźli bez większych kłopotów dzięki czerwonym ognistym żyłom, które płynęły po zboczu góry wznoszącej się nad wyspą, ale odnalezienie skrawka lądu, gdzie mogliby przybić do brzegu, okazało się znacznie trudniejsze. Elvara pchała i ciągnęła, pchała i ciągnęła.

Gdzieś zza pleców dotarły do niej strzępy pieśni Kráki. Spaczona niewolnica wyśpiewywała swoją magię, by odpędzić od okrętu morskie węże i innych væsenidów.

Po swojej lewej Elvara dostrzegła kupę czarnego granitu, foki i maskonury przyglądające się smoczej gardzieli drakkara, który mijał je w drodze do lądu. Poczuła, że morze wokół „Sztormowłada” uspokaja się, jakby na rozkaz jakiegoś runicznego zaklęcia. Wiosłowało się teraz łatwiej, gdy zawijali do naturalnej przystani. Tafla morza spłaszczyła się i prosto zarysował się za rufą spieniony kilwater. Agnar szczerknął rozkazem do Sighvata.

– POŁÓWKA! – ryknął bosman i rytm zwolnił.

Elvara dostosowała się do niego i ogarnęło ją podniecenie, które skutecznie wyгнаło znój z obolałych mięśni.

Dotarliśmy.

Kolejny wrzask Sighvata:

– WIOSŁA!

Rytm ustał zupełnie i bosman ruszył pokładem, mijając Elvarę w drodze na dziób. Kobieta wciągnęła wiosło na pokład,

słyszając drewniany stukot świadczący o tym, że reszta zrobiła to samo. Ułożywszy swoje na hakach, zaczopowała otwór w burcie. Skrzypnęło drewno, gdy „Sztormowład” zetknął się z drewnianym pomostem i Agnar zawiązał ster, po czym puścił się pokładem, wykrzykując rozkazy.

Elvara wstała, słysząc, jak strzelają jej kości karku i pleców, a potem otworzyła swój kufer. Rozwinęła nasączoną olejami owczą skórę, wyciągnęła lśniącą brynję. Z wprawą uniosła kolczugę, wsunęła dłonie i głowę w otwory i otrząsnęła ją na sobie, aż zbroja znalazła się na miejscu. Zapięła ciasno cienki pasek, by zdjąć sobie z barków jej ciężar, a następnie sięgnęła po pas z bronią – mieczem, saksem i toporem. Wysunęła miecz na długość dłoni, aby sprawdzić, czy nie zaklinował się w pochwie, po czym pozwoliła mu swobodnie opaść z powrotem do środka. To nawyk, który podłapała od Grenda już tego dnia, gdy pierwszy raz wzięła miecz do ręki. W końcu wyjęła ze skrzyni czapę z szorstkiej wełny, naciągnęła ją na głowę i uniosła swój hełm z płytkowym nakarczkiem. Poprawiła nakrycie głowy, tak by dobrze widzieć przez otwory na oczy, zapięła pasek pod brodą. Błysnęła uśmiechem do Grenda, który wykonał dokładnie tę samą procedurę, a teraz zataczał kręgi zgiętym ramieniem, by brynja dobrze się ułożyła. Odpowiedział jej beznamiętnym spojrzeniem. Twarz miał pobrużdżoną i jak zwykle zastygłą w srogim grymasie. Na ten widok uśmiech Elvary tylko się poszerzył. Chwyciła swoją tarczę, osadzoną na szynie biegnącej wzdłuż nadburcia. Wsunęła rękę przez obręcz po jej wewnętrznej stronie i złapała za uchwyt, osadzając pięść w umbie. Podeszła do stojaka z włóczniami, zabrała swoją i powściągnęła ochotę, by już zeskoczyć na ląd, czekając na rozkaz Agnara.

Kapitan wywoływał ludzi po imieniu – dziesięciu lub dwunastu, którzy mieli zostać i przypilnować okrętu, a reszcie kazał opuścić pokład. Wojownicy przesadzili kolejno burtę, nogi załomotały o dechy pomostu, do którego przycumował ich Sighvat, a wśród nich Elvara i Grend. Wiatr niósł drobinki śniegu opa-

dające z nieba wraz z deszczem, przepychając wysoko nad ich głowami opasłe zwały szarych chmur. Elvara rozejrzała się i zobaczyła, że moło wiedzie ku żwirowej plaży, gdzie na palach wisiały sieci do naprawy lub gotowe do połowu, a obok piętrzyły się wiklinowe pułapki na kraby. W tle widziała skupione na niewielkiej przestrzeni wędzarnie. W niedużej odległości leżały przegniłe resztki starego kadłuba, gdzie przycupnęły rybitwy i mewy, wczepione paciorkowatymi oczkami w nowo przybyłych. Plaża wznosiła się stromo, aż żwir osypywał się ze znajdującej się pod spodem ziemi, a wyżej, na skarpie tuliły się do siebie budynki, z których szły w niebo wąskie smugi dymu, znikające w burej powale sypiącego śniegiem nieba. Za budynkami rysowała się ciemnym pasmem ściana lasu, gdzie do osik i sosen tuliły się kolejne domostwa. Grunt nieustannie podnosił się ku widocznym w dali wzgórzom, a potem jeszcze bardziej strzelał ku górze, formując szczerbatą krawędź klifu przechodzącego w zbocze wiszącego nad wyspą ognistego szczytu.

Cienkie pasma rysowały się na klifie wyraźną czerwienią, lśniły na tle ciemnej skały jak kuźnia, gdzie wre praca mimo późnej wieczornej godziny. W wiosce kręcili się okutani w futra ludzie, a kolejni wylaniali się z drzwi i wpatrywali w obcych. Niektórzy uciekali, inni łapali za włócznie i myśliwskie łuki.

Jak ja nie znoszę łuków, pomyślała Elvara i splunęła na pomost, krzywiąc usta. Broń tchórza. Niby jak wojownik miałby dowieść swojej sprawności bojowej, zabijając z dystansu?

Złapała mocniej tarczę, na której wymalowano na czerwono miecz, topór i włócznię, skrzyżowane i otoczone plecionym wzorem.

– Na martwych bogów, ależ ziąb – mruknął Biórr. Ostatnie słowa zabarwił wesołą nutą cisnący mu się na usta uśmiech. Mężczyzna tupał i dmuchał w złączone dłonie chmurzyskami oddechu.

Elvara tylko na niego popatrzyła, a ujrzawszy w jego oczach zainteresowanie, odwróciła wzrok.

– Dzień jak co dzień – powiedziała. Właściwie sama czuła, jak do jej stygnących mięśni napływa niepostrzeżenie trupie zimno. Obok nich trzeszczał „Sztormowład”, unosząc się i opadając na łagodnej fali niebiesko-czarnego morza, połyskliwego i zgęstniałego od lodu. Tak daleko na północy wiosna była tylko pustym słowem.

– Elvara, Grend, do mnie! – wrzasnął Agnar i wojownicy rozstąpili się, by ją przepuścić. Kobieta zadarła głowę, ucieszona względami wodza, który wyróżnił ze swoich ludzi najmłodszą wojowniczkę.

Najmłodszą i najlepszą, przyszło jej się na myśl, a nie było to byle co, wnosząc z małego tłumu ponurych wojów, których mijała w drodze ku sadybom, wszystkich poznaczonych bliznami, zaprawionych w walce i twardych jak żelazo. Obejrzała się jeszcze na pokład drakkara, obiegła wzrokiem towarzyszy pełniących wachtę na pokładzie, którzy wpatrywali się w nią nieruchomymi oczami. Krąka przechyliła się przez dziób, mokre od potu i deszczu włosy lepiły się jej do głowy dwoma ciemnymi płatami, niczym skrzydła martwego kruka. Poruszyła się, gdy Elvara ją mijała, i obróciła się tak, by nie odrywać od niej wzroku. Wojowniczką słyszała grzechot jej obroży i łańcucha. Jeden z wachtowników dał jej kopa i kobieta wzdrygnęła się, unosząc ręce. Elvara odwróciła głowę.

Wódz czekał. Przez środek jego głowy biegło pasmo jasnych włosów zaplecionych w warkocz wojownika, a jej boki nosił wygolone. Narzucił na kolczugę gruby płaszcz z czarnego niedźwiedzia, a na jego potężnych ramionach lśniły bransolety. W ręce dźwigał tarczę, zaś druga spoczywała na mieczu przy boku. U pasa wisiał złachany, brudny od zakrzepłej krwi skrawek wełny. Nim Elvara dołączyła do niego, nałożył i zapiął hełm.

Sighvat spoglądał wilkiem ponad jego ramieniem. Jego potężna sylwetka obciążona była ledwie zdolną go pomieścić kolczugą, a zza pasa wystawał brodaty topór. Przerzucił sobie przez bark jutowy worek, w drugiej ręce trzymał łańcuch. Na

jego końcu znajdował się przykucnięty na ziemi człowiek, który drżał i kulił się z zimna. Długowłosey i wychudły, o zapadniętych oczach jak dwie czarne dziury, okryty porwanym płaszczem z foczej skóry.

– Za mną – rzucił Agnar do Elvary, a potem obrócił się i ruszył pomostem naprzód. Sighvat pociągnął za sobą skutego niewolnika. Elvara i Grend poszli za nimi. Pomost drżał pod ciężkimi krokami wojbandy. Agnar podniósł do ust róg i huknął potężnie, a wiatr poniósł przed nimi ponury ton.

Żwir zachrząścił pod nogami Elvary, gdy zeszli z pomostu i ruszyli plażą tam, gdzie gromadził się tłum.

– Jesteśmy Zwiastunami Śmierci – zawołał Sighvat głosem, który zrodził się chyba w głębi jego wielkiego brzucha. – Jesteśmy pogromcami væsenidów, łowcami spacjeńców, zniwiarzami dusz. Jeśliście nie słyszeli o naszej bitewnej sławie, chętnie jej was nauczymy.

Zza pleców Elvary dobiegły śmiechy i prychnięcia. Ciżba przed nimi poruszyła się niepewnie, ludzie zaczęli szeptać między sobą – najwyżej siedemdziesięciu chłopów w foczych skórach i futrach, pośród nich uczone nogi dorosłych dzieci, a za ich plecami ci mniej śmiali, wyglądający z drzwi domów, jakby bali się opuścić bezpieczne cztery ściany. Ale widziała też wystające ponad głowy włócznie, a kilka z nich było nawet opuszczonych jak do walki. Gdzie indziej dostrzegła strzały na cięciwach. W oczach tubylców czaiło się niewypowiedziane na głos pytanie. Balansowali na ostrzu noża, z niechęcią myśląc o walce. Faktem było, że przeważali liczebnie nad Zwiastunami Śmierci, że wyglądali na silnych i zaprawionych surowym życiem. Elvara wiedziała, że tak daleko na północy nie było słabeuszy. Te ziemie sprzysięgły się przeciw rodzajowi ludzkiemu, a tutejsi væsenidzi poczynali sobie śmieiej niż na południu. Ale choć mieszkańcy wioski byli silni i twardzi, to nie byli Zwiastunami, którzy żyli z wojaczki i nurzali się we krwi wielu bitew. W całym tłumie niewielu nosiło tarcze, a kolczugi nie miał nikt.

– Obserwuj ich swoimi sokolimi oczami – mruknął Agnar do Elvary, zatrzymawszy się na czele pochodu. Reszta oddziału rozproszyła się za jego plecami. – TARCZE! – zakomenderował i Elvara usłyszała stukot składanych razem lipowych tarcz i chrzęst wielu butów na żwirze. – Jest wśród was człowiek – mówił dalej Agnar. – Imię jego: Berak. Wysoki i szeroki jak stodoła. Z bliznami po boku twarzy. Są z nim kobieta i dziecko. Przybył tu dwa, może trzy dni temu. Wydajcie nam go, a krew nie splami piachu.

Elvara obserwowała twarze tubylców. Dostrzegła w nich strach, gdzie indziej dumę, niekiedy wrogość i nawet gniew. Agnar wyjął zza pasa skrawek wełny i podniósł wysoko.

– Znajdę go z waszą pomocą lub bez niej. Mój niewolnik jest z miotu Hundura, boga-psa. Zna jego zapach. Berak mi się nie wywinie.

Agnar rzucił krwawą szmatę pod nogi mężczyźnie na końcu łańcucha, który spojrzał na nią tak, jakby była nasączona trucizną. Bosman szarpnął go za obroź.

– *Hlýða* – warknął Agnar, a na jego szyi wystąpiła drżąca siatka czerwonych żył.

Niewolnik zaskomlał, a potem podniósł materiał i zanurzył w nim twarz, wachając i prychając.

– Przed wami wybór: pomoc lub przeszkodzić – podjął Agnar. Popatrzył po ciżbie, wyciągnął ciężką sakwę pieniędzy i rzucił ją na ławę przed sobą. – Wzbogacić się lub zginąć.

Wódz wzruszył ramionami, jakby nie obchodziło go, co wybiorą.

Wtedy naprzód wyszedł wysoki mężczyzna w futrach i focznej skórze. W dłoni trzymał włócznię, przy pasie miał długi nóż o rękojeści z morsowej kości. Jego broda była zapleciona w wiele warkoczy i zebrana kościanymi pierścieniami.

– Jestem Hrut, jarl wyspy Iskalt – powiedział.

Patrzcie państwo, jarl! – pomyślała Elvara, mierząc go wzrokiem. Gdzie twoje złoto i srebro? Gdzie twój miecz i kolczuga? Na kontynencie nie jarlowałbyś nawet nad chlewem.

– I nic mi nie wiadomo, by na mojej wyspie był jakiś Berak – ciągnął po pauzie Hrut.

– A ja twierdzę, że dokładnie wiesz, o kim mówię – skontrował Agnar. – Choć możesz nie wiedzieć, że on jest spaczeńcem! – Ostatnie słowo wyrzycał, przyskajac drobinkami śliny. – Został dotknięty przez bogów i przywiedzie was wszystkich do powolnej i bolesnej śmierci. Nie wpuszczajcie pod dach ludzi takich jak on.

Elvara spostrzegła jakiś ruch na tyłach grupy. Wysoki mężczyzna z włócznią i płaszczem z pozszywanych łat skóry białego lisa nachylił się do ucha dziewczynki, która nie mogła mieć więcej niż siedem czy osiem zim. Ta pokiwała głową i pobiegła plażą.

– Tam – powiedziała Elvara do Agnara, wskazując swoją włócznią biegnące dziecko.

Wódz ruszył naprzód, chcąc obejść Hruta, ale jarl zrobił krok w prawo i stanął oko w oko z Krwiozaprzysiężonym. Ten zatrzymał się i przez ramię krzyknął do przybocznej:

– Śledź tę małą.

A potem wyszarpnął miecz z pochwy i w powietrze trysnęła krew. To był cios, który Elvara ćwiczyła codziennie – dobytec broni płynnie przechodzące w ukośne cięcie od lewej do prawej. Agnar ukrył manewr za zrębem tarczy, a Hrut przejrzał jego zamiśl dopiero wtedy, gdy uchwycił wzrokiem błysk stali. Miał tylko chwilę, by zastawić się włócznią i odsunąć na bok, ale miecz Agnara przeciął drzewce i chlasnął go po brodatej zuchwie. Elvara złapała spojrzeniem frunące w powietrzu zęby.

Wyspiarz zawył z bólu i wściekłości, a Agnar ruszył naprzód, unosząc tarczę i pchając mieczem. Tłum za Hrutem wrzasnął, wielu jego ziomeków pochyliło włócznie i rzuciło się do ataku. Syknęły wypuszczane z łuków strzały.

Elvara wkroczyła do akcji; w dwa kroki obesła walczących wodzów, gdy Zwiastuni za jej plecami już wznosili bitewne okrzyki i parli naprzód, łomocząc bronią o tarcze. Usłyszała

za sobą chrzęst żwiru – podążyły za nią jakieś obute nogi i Elvara nie musiała się obracać, by wiedzieć, że to Grend. Obiegła tłum skupiony wokół Agnara i Hruta. Mężczyzna z nałożoną na cięciwę łuku strzałą wychylił się zza swoich ludzi, naciągnął i wypuścił pocisk w grupę Zwiastunów. Z plaży dobiegł krzyk. Elvara skręciła ostro, wbijając się z impetem w łucznika, który zauważył ją zbyt późno, by uniknąć kolizji.

Grzmotnęła go umbem tarczy w skroń i mężczyzna opadł na żwir jak odcięty żagiel. Stała nad nim, szukając uciekającej dziewczynki, i pochwyciła wzrokiem miejsce, gdzie w tej sekundzie wbiegła między stojące na plaży chaty. Puściła się w tamtym kierunku.

Coś poruszyło się po jej prawej stronie i schyliła się instynktownie, okręcając z mocą, by zasłonić się tarczą. Grot włóczni zachrobotał na pierścieniach kolczugi, krzesząc iskrę. Elvara odbiła drzewce zrębem tarczy, posyłając na ziemię dzierżącą ją wojowniczkę. Najemniczka zamachnęła się mieczem i wbiła klingę w ramię rywalki, a potem szarpnęła do siebie, przepiłowując się przez futro i skórę. Bryznęła krew, kobieta wrzasnęła, zataczając się w przód i lądując na jednym kolanie. Zakreśliła włócznią szeroki łuk, chcąc przeciąć Elvarze ścięgna w kolanie, a chwilę później jej głowa zmieniła się w krwawą miazgę, gdy wżarł się w nią topór Grenda. Włócznia opadła na piach i zniechęciała. Opiekun obnażył zęby i wyrwał głównię z rozplatanej czaszki, aż mózg i krew spryskały mu twarz. Wymienili z Elwarą krótkie spojrzenia i kobieta wznowiła bieg. Kątem oka wypatrzyła jeszcze za towarzyszem Sighvata wraz z niewolnikiem na łańcuchu, a za nimi Biórra.

Wpadła między zabudowania. Stała i wstrzymała oddech, wyętzając słuch. Zza jej pleców dobiegały niesione wiatrem krzyki i szcęk żelaza. Wyrzuciła je z uszu i wtedy usłyszała szepczące głosy, jeden głęboki, nieledwie warkot. Ruszyła biegiem. Przebijając się przez skupione blisko budynki i lawirując między kotarami czekających na naprawę sieci, dotarła

w końcu do wiszących na zawiasie drzwi. Wsparta na drewnianej konstrukcji chata o ścianach z wikliny zalepionej gliną. Wyglądała, jakby mieściła się w niej tylko jedna izba. Elvara zwolniła, poprawiła uchwyt na tarczy, zerknęła przez otwarte drzwi do środka i dostrzegła w ciemności przygaszony płomień. Grend zatrzymał się ze wślizgiem obok niej i dziewczyna gestem kazała mu obejść chatę. Skinął w milczeniu głową, a jego podopieczna z mocą kopnęła drzwi, chcąc trafić kogoś, kto mógłby się kryć za nimi, następnie zaś wpadła do pokoju z uniesioną tarczą i włócznią, obracając się, gotowa na atak przyczajonego wroga.

Chata okazała się pusta.

W wygrzebanym w ziemi na środku pomieszczenia paleńniku płonął mały ogień. Nad nim na żelaznym łańcuchu wisiał kociołek, w którym bulgotała rybna potrawka. Stół, trzy krzesła, dwa słomiane posłania. Elvara wbiła w nie włócznię, a potem dostrzegła sączące się do chaty światło. Nisko w tylnej ścianie znalazła dziurę. Dość dużą, by przepelzł przez nią rosły mężczyzna.

Pojawiły się w niej obute stopy i łydki owinięte pasmami szarego materiału.

Elvara kopnęła w ścianę i glina posypała się na ziemię. Poprawiła drugim kopniakiem, aż z wiklinowej plecionki odpadły całe bryły. Wtedy Grend uderzył w to miejsce toporem i przebili się na drugą stronę.

Stali, gapiąc się na siebie.

Elvara słyszała za sobą ciężki oddech i dzwonienie łańcuchów. Dogonili ich Sighvat z niewolnikiem. Kiedy wielki mężczyzna przepchnął się przez drzwi, w chatynce na moment zrobiło się ciemno. Niewolnik kucnął przy ziemi, wężąc i prychając. Później pojawił się Biórr, cały czerwony po bitce i pogoni.

– To on? – warknął Sighvat na niewolnika. Skuty człowiek podpełzł do posłania i zanurzył twarz w słomie, zaciągając się głęboko. Podniósł wzrok na Sighvata i pokiwał twierdząco głową.

Kroki. Agnar stanął u wejścia z mieczem zakrwawionym aż po jelec, a za nim tłum jego wojów. Pociągnął wzrokiem od bosmana do niewolnika.

– Gdzie on jest? – wycharczał.

Elvara wskazała dziurę w ścianie. Grend szukał na ziemi śladów.

– Tędy – powiedział ponury wojownik, prostując się i pokazując czerwonym od krwi toporem linię drzew, gdzie zaczynał się ciemny las, ponad którym wznosiła się ognista góra Iskaltu, ciemna i złowieszcza.

– Za nimi – rozkazał wódz.